Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

NA NOWY ROK.

Jak z kniei do kniei, z bronią na ramieniu, z okiem wytężonem przed siebie, przechodzimy z upłynionego roku w Rok Nowy... Co poza nami, wiemy aż zanadto: chybione strzały, rozwiane złudzenia, ciężka zimowla, zagadkowe loty — tu owdzie zdobycze, owoc celnych strzałów. Lecz co przed nami? Tajemnicza knieja, nietknięta ludzką stopą, pełna nieznanych nam wypadków i zrządzeń losu...

Czy będą nam przyjaźne?

Łowiec — to śmiertelnik; nie czyta on w przyszłości, nie wie co go czeka, lecz wahać się nie może. Poleciwszy się Bogu, z ręką na broni zapuszcza się w knieję, pewnym krokiem idzie na przeciw nieznanym przygodom, z któremi mu Opatrzność spotkać się i potykać każe. W głębi swej duszy wie on, że nie wykroczy przeciw prawom Boga i natury, że tępić będzie co szkodliwe, ochraniać co pożyteczne, że z miłością dla tej ziemi rodzinnej, która mu jest matką i rodzicielką, starać się będzie o jej dobro... O resztę nie dba. Chociażby nawet przeczucia mówiły mu w głębi serca, że zbliża się ciężka dola, z odwagą kroczyć będzie naprzód, gotów zawsze spełniać obowiązek, jaki nań tradycya i stanowisko społeczne nakłada.

A więc z Bogiem naprzód!

* * *

Pierwotny „łowiec“ staje się w warunkach tegoczesnego rozwoju społecznego coraz bardziej „myśliwym“. Zadaniem jego nie jest wyłącznie walka z naturą, która przygniatała człowieka swym ogromem, napawała go strachem, łamała jego wolę i niszczyła jego zamiary. Cywilizacya całych wieków zmieniła gruntownie stosunek natury do człowieka; dziś nie jest on jej niewolnikiem ale panem, umie unikać ciosów, któremi godzi w niego w porywach dzikiego szału, a zaprzęga ją do jarzma swych prac i wydobywa z niej wszystko, co mu do życia i wygód potrzebne.

To panowanie — jak każda władza — nakłada jednak na łowca pewne obowiązki: wskazuje mu powściągliwość jako główne przykazanie, ochronę jako naczelną cnotę. Gdyby w dzikim zapędzie chciał naśladować pierwotnych łowców i niczemu nie ulegał prócz chuci niszczenia, uczyniłby naturę pustką i siebie samego skazałby na zatratę. Pod oszcze-

pami pierwotnych łowców padły już tury i łosie — myśliwy dzisiejszych czasów pragnąłby je wskrzesić — i to jest różnica ich stanowisk. Myśliwy poskramia w sobie żądze łowca, „myśli“ o przyszłości, z lampą wiedzy wnika w tajniki przyrody, na odstraszających przykładach zniszczenia w zamierzchłej przeszłości uczy się chronić to co jest — dla siebie i dla przyszłych pokoleń — i to jest jego zadanie, rozrastające się coraz bardziej do rozmiarów społecznej pracy, mającej zaszczytne swe miejsce w narodowej ekonomii.

Lecz unikać mu należy w tej pracy kierunków chorobliwych — nie oddalać się od natury i ścisłego z nią poczucia, stronić jak najdalej od doktryneryi, która pod nazwą „niemieckiej gruntowności“ oddziaływa nieraz tak szkodliwie na praktyczne zagadnienia życia.

Cała „gruntowność niemiecka“ i w ogóle cała wiedza ludzka nie wniknęły jeszcze dość głęboko w tajemny warsztat przyrody. Gdyby łowiec tylko z ksiąg chciał być uczonym, gdyby sam nie starał się podglądać tajemnic natury, gdyby sądził wyłącznie sądem innych a sam miał oczy zamknięte na to różnowzore życie, które go otacza — rozminąłby się z swem przeznaczeniem. Nietylko bronią powinien więc torować sobie drogę w świat zwierzęcy, lecz zaostrzać swój zmysł badawczy, własnem okiem śledzić bystro wszelkie przejawy życia, a łącząc praktykę z zapasem swej wiedzy, wzbogacać zapiski z biologii zwierząt, w której jeszcze wiele do zbadania i zapisania zostało.

* * *

I w wychowaniu przypada myśliwemu piękna sfera wpływu. W dawnych czasach rycerskie rzemiosło, jazda konno, szermierka i łowiectwo stanowiły nietylko akademię fizycznego wychowania obywatela, lecz wyrabiały w nim również przebiegłość umysłu, przytomność ducha, odwagę, wytrzymałość na przeciwności życia. Może być, że właściwe kształcenie umysłu i wyposażanie go wiedzą teoretyczną było zbyt zaniedbane. Lecz importowany nam później system wychowania przerzucił je w przeciwną wprost jednostronność: garniłował umysł tysiącem wiadomości, ale zapominał o ciele. Ztąd poszła pogarda dla ćwiczeń fizycznych, dla wszelkich utrudzeń i przezwyciężeń ciała. Wydano też niejednego niedołęgę, którego głowa napchaną była rozumem „jak szafa Porycka“, lecz niepraktycznego w życiu, niezdolnego do patrzenia się na najprostsze zjawiska w przyrodzie i dawania sobie z niemi rady.

Dopiero ciężkie błędy tego wychowania spaczonego nakazały przywiązywać wagę do roztropnych ćwiczeń ciała. Gimnastyka, szermierka, łyżwiarstwo podniosły hasło starożytnych: *mens sana in corpore sano*, hygiena wysila się, aby walczyć ze zgubnemi następstwami zbyt wytężającej pracy umysłowej, a w szeregu ćwiczeń, oddziaływających zbawiennie na organizm ludzki, dających mu wytrwałość, przytomność ducha i odwagę, a obok tego rozgrzewających serce miłością przyrody — staje także łowiectwo.

Łowy bywały i bywają nieraz tylko pokrywką lenistwa, lub gorszej od niego chętki do pijatyk i hulanek — karygodnem marnotrawieniem czasu, sił i mienia. W tej formie spotykały się one często z uzasadnioną opozycyą zacnych niewiast, które też synów swych chroniły od „szkodliwej namiętności myśliwskiej“. Jeśli wszakże matka ujrzy w swym synu młodzieńca wyblakłego, chorobliwie wyciągniętego, niezdolnego do fizycznych wysileń, apatycznego dla prawdziwych piękności natury a skłonnego do tracenia zdrowia dla chimer wyobraźni — jeśli przytem pomyśli, że powszechna służba wojskowa porwie jej nagle tego młodzieńca i rzuci odrazu w odmęt wysileń cielesnych, twardych walk z przeszkodami natury, wyczerpujących marszów i ćwiczeń — wtedy może przyzna, że troska o fizyczne wychowanie młodzieńca powinna być troską równie ważną jak wychowanie duchowe. I tu zaprawianie do łowiectwa, ruch na powietrzu, utrudzające pochody, wycieczki o świcie, użycie broni i t. p. wejdą jako ważny czynnik wychowania dorosłej młodzieży.

Harmonijny rozwój wszystkich władz człowieka — oto zagadka wychowania; godzenie szczęśliwe wiedzy z praktyką — oto mądrość dorosłych. Jeśli kto zwrócił uwagę tylko na umysł a ciało zaniedbał — jeśli rozrywał wychowaniem to, co Stwórca połączył — zawsze pobłądził.

* * *

Łowiectwo, wytężające wszystkie swe siły, aby nietylko chronić pożyteczne zwierzęta łowne od wytępienia, lecz starać się o coraz większe rozmnażanie ich po naszych lasach i polach — łowiectwo takie staje się w życiu naszem społecznem coraz wybitniejszą gałęzią gospodarstwa publicznego. Pomnażać ilość zwierząt łownych a tem samem ilość jednego z najwydatniejszych pokarmów człowieka — jestto pomnażać bogactwo krajowe. Do tego właśnie dąży nowożytne łowiectwo i z tego powodu zasługuje też na baczniejszą uwagę władz publicznych, na szczerszą opiekę ciał ustawodawczych.

Sprawa reformy naszego ustawodawstwa łowieckiego jest od lat kilku na porządku dziennym spraw publicznych, lecz dotychczas nie doczekała się zadowalniającego załatwienia. Gdy w listopadzie 1887 przedłożył Wydział krajowy Sejmowi projekt ustawy łowieckiej, obejmującej całość przedmiotu i tworzącej poniekąd kodeks myśliwski — wmieszał się w to niefortunnie p. minister rolnictwa z zapatrywaniem, iż należałoby tylko wnosić i uchwalać stopniowo nowele, dążące do zmiany postanowień, które w dzisiejszych przepisach o myśliwstwie są przestarzałe lub niedogodne. Na razie uważał za pożądane uchwalenie nowel: 1) o wykonywaniu prawa polowania, 2) o wynagradzaniu szkód z polowania wynikających i przez zwierzynę zrządzanych, i 3) o kartach myśliwskich. Zapatrywania te udzielone zostały we wrześniu 1888 sejmowej komisyi administracyjnej, która jednakże dla nawału spraw innych, ustawą łowiecką zająć się nie mogła.

Tymczaszm zaszła zmiana w zapatrywaniach p. ministra. Już po zamknięciu ubiegłej sesji, otrzy-

mał Wydział krajowy odezwę Prezydyum Namiestnictwa z d. 7. października 1888, w której oznajmiono, że p. minister rolnictwa gotów jest nie stawiać obecnie przeszkód dążeniom do reformy ustawodawstwa łowieckiego zapomocą nowej jednolitej ustawy łowieckiej, lecz tam tylko, gdzie dążenia takie stanowczo się objawią, i żąda zatem, aby w tym względzie oświadczył się Sejm krajowy, czy skłonnym jest do uchwalania pojedynczych nowel w kwestyach ustawodawstwa łowieckiego, czy też uważa za stósowne wydanie jednolitej ustawy łowieckiej. Na ten ostatni wypadek oświadczył rząd, iż gotów jest wziąć udział w opracowaniu takiego projektu ustawy i zawiązać w tej mierze rokowania z Wydziałem krajowym, aby Sejmowi mógł być przedłożony projekt, oparty na porozumieniu się rządu z Wydziałem krajowym.

W skutek takiego wynurzenia ministerstwa, wchodzi Wydział krajowy (sprawozd. z d. 14. października 1888) przed Sejm na rozpocząć się mającej sesji z wnioskiem, ażeby uznał za konieczne wydanie dla Galicji jednolitej ustawy o łowiectwie, obejmującej całość przedmiotu, oraz polecił Wydziałowi krajowemu, iżby w porozumieniu z rządem wypracował projekt takiej ustawy i przedłożył go najbliższemu Sejmowi.

Po licznych głosach fachowych, jakie już w tej sprawie były wyrzeczone, i po tej zmianie zapatrywań p. ministra rolnictwa, który widocznie pod wpływem opinij fachowych z różnych krajów zdanie swe na korzyść pierwotnego projektu Wydziału krajowego zmienił — nie ulega wątpliwości, że Sejm wydanie całego nowego kodeksu myśliwskiego uzna również za potrzebne. Całość przepisów o myśliwstwie, począwszy od patentu o polowaniu z r. 1786, składa się u nas z tak fragmentarycznych ustaw i rozporządzeń, między któremi nadto tyle jest zastarzałych i z nowszą organizacyą kraju niezgodnych pojęć, że dokładna rewizya tego wszystkiego, oczyszczenie i zlanie w całość, staje się sprawą coraz bardziej naglącą. Nie wątpimy zatem, iż rok bieżący zostanie na mocy uchwały Sejmu krajowego na pracę tę użytym i że nie będzie z niej wykluczonym udział sił fachowych, których przedewszystkiem w łonie gal. Towarzystwa łowieckiego szukać należy.

I „Łowiec“ zamierza do pracy tej w miarę możności się przyczyniać. Otwiera mianowicie szpalty swe dla dyskussyi nad brakami lub pożądanemi zmianami w dotychczasowych przepisach o myśliwstwie, i uprasza szanownych członków gal. Towarzystwa łowieckiego i w ogóle wszystkich czytelników, aby mu uwagi swe w tym kierunku nadsyłać raczyli.

* * *

Lecz obok ustawodawczego uregulowania, domaga się jeszcze łowiectwo polskie podręcznika o myśliwstwie, któryby jako wytrawne i praktyczne „Vademecum“ łowca był mu doradcą w każdej wątpliwości, nauczycielem zaufanym w braku żywego mentora. Nie masz może nigdzie tyle przesądów i wręcz sprzecznych mniemań, co w łowiectwie, nie uwydatnia się może nigdzie potrzeba racyonalnych pouczeń i skazówek, tak, jak w sprawie ochrony zwierząt łownych. Jedenaście roczników pisma naszego mieszczą już w niejednym kierunku istną skarbnicę wiadomości, którąby tylko właściwie użyć i zastosować wypadało, a mógłby powstać stosowny „podręcznik“. Monografie zwierząt łownych i jednolita terminologia łowiecka; przepisy co do ochrony, żywienia i rozmnażania tych zwierząt; dobre skazówki co do rodzajów i sposobów polowania; zasadnicze uwagi co do broni myśliwskiej i jej użycia; pogląd na rasy psów, zażycie ich i tresowanie, pomoc w wypadkach choroby i t. p. — oto bogaty materyał, który złożyłby się na „podręcznik“, o którym mowa. A jestto w istocie rzecz zadziwiająca, że w literaturze narodu, który tak wiele myśliwstwu się oddawał, wyjąwszy niektóre, świetne lecz zbyt dawne monografie — jak n. p. „Myśliwstwo ptasze“ Cygańskiego — nie masz ani jednego dzieła, traktującego o całokształcie myśliwstwa.

Dziś sposoby reprodukcyi dysponują nadzwyczajnemi ułatwieniami, w piśmiennictwach Niemców Francuzów, Anglików i innych wydano dzieła pomnikowej wartości, z których w niejednym względzie co do potrzebnych ilustracyj i t. p. zasilić się można. Łatwość wydania jest zatem większa niż kiedykolwiek. Idzie tylko o współdziałanie znawców, którzyby opracowanie lub tylko krytykę poszczególnych części przyjęli na siebie. Czyż w takich warunkach byłoby niepodobieństwem wydanie dzieła, zdolnego uzupełnić w najwłaściwszy sposób tę pracę ustawodawczą, jaka się ma dokonać? Czyż w obec rozszerzenia się myśliwstwa na sfery, gdzie ono nie ma tradycyj i staje się „sportem“, całkiem nowym i mało znanym, nie masz obowiązku i w obronie samejże sławy polskiego myśliwstwa i dla ochrony zwierząt łownych o książce takiej, dla wszystkich dostępnej, pomyśleć?

Ponawiamy tę myśl, już parę razy przez „Łowca“ poruszoną, bo wierzymy, że jest ona zdrowem ziarnem, które plon wydać powinno. Nie wątpimy, iż znajdą się mężowie miłujący do tyla myśliwstwo i do tyla ofiarni, iż zechcą poświęcić swą pracę, dobrą radę i pomoc materyalną, ażeby wydanie podobnego podręcznika umożliwić.

Wszelkim usiłowaniom, zdążającym do tego celu, który tak bardzo programowi podniesienia łowiectwa odpowiada — zasyłamy już z góry „Szczęść Boże!“

St.

ROK 1888.

przez

Kazimierza hr. Wodzickiego.

Rok, w swym niehamowanym biegu, zdąża ku końcowi i poczyna się jego wysilenia agonia. Jesień toczy bezowocną walkę z ciemiężącą zimą, traci swe ozdoby; wichry targają liście, przymrozki ścinają wodę i warzą resztę pozostałej roślinności.

Słońce, już nie śmiałe, pieści wprawdzie swą przyrodę, lecz do życia powołać jej nie zdoła; cofa się za pagórek i rumieńcem okazuje nam swą niemoc. Muszki przestały brzęczyć, harmonijni śpiewacy ulotnili się na Wschód, i niebawem przyroda cała, białemi pieluchami okryta, pogrąży się w letargu zimowym. Broni się jeszcze i z szaty białej otrząsa, resztkami życia topi śnieg i swobodnie oddecha — lecz nie potrwa to długo... Mróz i śnieg, to nieubłagani wrogowie — pędzą do snu zimowego — i w krajach grobowych podwoiła się żałoba, smutek i tęsknota, bo ciepła jutrzenka daleko!

W tym to czasie myśliwy pamięcią cofa się ku naszej kapryśnej wiośnie z kapryśnym ciągiem słonek, bada lęg ptactwa, przebiega ściernie i z opadającym liściem szuka po gęstwinach oczekiwanych długodziobów, licząc przy tej sposobności pomnożenie tegorocznej zwierzyny. I znowu przymuszony wygłosić lament na spóźnioną i tak obficie przyśnieżoną wiosnę, również bolesny lament na przedwczesną, mroźną jesień, wyganiającą tłumnie ptaki z zarośli naszych. Wypada spisać ciągi i ich termina, ważniejsze zdarzenia myśliwskie i wywołać sprawozdania z innych okolic.

Ciągu słonek na wiosnę nie było. Słonki, pojawiające się pojedyńczo, to ptaki u nas latujące i oczekujące w lodowatem męczeństwie cieplejszego powietrza i zmartwychwstania przyrody. Pierwsze pojawiły się 31. marca, ostatnia nam zabłysła 24. kwietnia. Ni liżący wiatr, ni piekące słońce nie zdołały stopić naniesionych śniegów, przypuszczam więc, że naszą okolicę słonki pominęły i na znanych stacjach wcale się nie zatrzymały.

Przepiórki dopiero 3go maja się pojawiły i wyjątkowo wcale nie biły. Można było przypuścić, że ich prawie niema, a przecie, bez polowania umyślnego na nie, jedynie przy gospodarstwie, ubito przeszło 300. Derkacze po łąkach skąpo się pokazywały, gdyż te rzeczywiste wodniki nie znoszą posuchy, która nam w polu plony paliła. To też chróściel należał w tym roku do osobliwości w przytroczonej zwierzynie. Nareszcie złotokłose snopy zwieziono, pola murawą jak kobiercami nakryte, zazieleniały, i już posyłano na zwiady za słonkami. Niestety, znowu nader bolesny zawód. Nigdzie licznie nie odpoczywały — nie pamiętam miotu z czterma słonkami, lecz i dla pojedyńczych miot goniono, co wytwarzało nużące i bez korzyści polowania. Jak długotrwała posucha dopiekła słonkom, dowodzi ich ciąg na stawy i jeziorka, częstokroć w towarzystwie kaczek, gdyż we wrześniu nie miały kropli deszczu i rosy w lasach. Śmiało mogę twierdzić o pobycie 50 do 60 stadek w moich zaroślach, a jak przybyły pojedyńczo, tak pozostawały i nareszcie pojedyńczo odleciały. Ten wyjątkowy ciąg zmusza mnie do zaregestrowania tego zjawiska; słonki bowiem najczęściej rodzinami emigrują.

W dniu 14. października nawiedziła nas zimna słota, 16. dokuczał dwustopniowy mróz, 22. śnieżyca i zabielony został las, pierwsze przymrozki wytrzymały słonki, zaś z 21. na 22. już się ulotniły. Zabito z wysileniem 58 słonek.

Nader ciekawa jest tegoroczna popielowa klęska. Myszy wydrenowały koniczyny, na trociny trą snopki, a nawet już widać czarne plasterki po oziminach. Jedyna nadzieja rolnika w lodowatej kąpieli mysz. Lisy licznie się pojawiły na tępicieli szkodnic, lecz namiętność myśliwska usunęła to dobrodziejstwo. Można sobie wystawić ilość lisów, gdy powiem, że goniąc małe mioty, wyłącznie na słonki, ubiliśmy 40, a więcej tych szkodników ostrożnych uchyliło się przed morderczym śrótem, zmykając zawczasu. Zabijaliśmy lisy młode, nie większe od dużych szczeniąt, i lichym kożuchem okryte. Tajemnicą pozostanie przyczyna tak późnego szczenienia się liszek.

Zające dobrze się rozmnożyły i liczne widujemy z września i października. W sarnach brak widoczny roczniaków, śniegami zimowemi zdziesiątkowanych. Wprawdzie widujemy jałowe kozy, więc przypuszczam, że niejedna płód spławiła przy nieznanych wysileniach, czynionych na śniegach, lecz z drugiej strony wiele sarn wodzi dwoje i troje sarniąt i z pewnością ubytek wyrównanym zostanie.

Najciekawsza część sprawozdania tego nie zaspokoi ciekawości czytelnika. Pustynniki obrały widocznie inną drogę w jesieni, jak tę, po której podróżowały na wiosnę. Rozstawiane czaty i zorganizowana policja, wykazują w naszej okolicy ciąg następujący: Na zielonej pszenicy podszedł strzelec pięć sztuk, prawdopodobnie rodzinę i chybił. Nie można w znaczniejszem oddaleniu rozpoznać doskonałe ptaki od młodych, są bowiem barwy ziemi, a pomimo, iż się zdaje, że pełzają, posuwają się one szybko. W dniu 9. września widziano w locie stadko złożone z 13 sztuk, 10go zaś 30 pustynników na oziminie nader ostrożnych i nieprzystępnych. Później nie było już więcej tych zagadkowych ptaków. Dopisać tu jeszcze muszę, aby uwiecznić srogość tej śnieżnej zimy, drobne tegoroczne sarniątka w listopadzie, wydające się jak zające w niewielkiem oddaleniu, co dowodzi czynionych nad miarę wysileń kotnych matek, pasza bowiem w suchym roku była obfita, zdrowa i prawdopodobnie smaczna, a sarniątka wyrosnąć nie mogły, jużto w łonach matek, jużto z powodu widocznego braku mleka.

Przy końcu mego sprawozdania zanotować tu muszę wyjątkowe zdarzenie nie do uwierzenia, a prawdziwe. Jest to unikat w mem życiu myśliwskiem.

Na oziminie przed moim domem, w bliskości dębowego lasu, żerowało siedm sarn. Piesek malutki, siedzący na wózku, namiętny myśliwy, a przytem pieszczoch kanapowy, zobaczywszy sarny zeskoczył i począł głosem gonić. Sarny w popłochu uciekły do lasu, a piesek za niemi. Jakież było

nasze zdziwienie, gdy po chwili widzimy pieska z wysileniem uciekającego ze spuszczonym ogonem i w niepospolitym strachu, a bezpośrednio za nim cztery nacierające sarny. Gdy nareszcie piesek wskoczył na wózek, sarny stanęły i rekognoskowały, poczem spokojnie się cofnęły i żerować poczęły. Nasuwa się przypuszczenie, że się tym sposobem przed napaścią lisa bronią, pomimo, że zawsze widziałem uciekające przed tym drapieżcą. Przykro mi, że nie mogę zanotować, czy to były same waleczne matki, czyli też i ostrożny rogacz do natarcia się przyczynił, a to z powodu oddalenia i zapadającego zmroku.

W szeregu lat, w których z gończakami polowałem, widywałem tylokrotnie uciekające przed psami sarny, tak, że nawet pojedyńczy błąkający się pies pędził zawsze sarnę, muszę więc w tym wypadku podziwiać wyjątkową odwagę tych czterech sarn.

W ogólności rok ten nie sprzyjał widocznie ptakom, przypuścić można i straty w podróży poniesione, gdyż liczba przybyła, o wiele mniejszą była niżeli w inne wiosny. Rolny śpiewak nie często się pod obłoki unosił, na bagnach skąpo było ptactwa, w lesie koncerta nie głośne, jedynie kukułki w wielkiej ilości nadleciały i u nas na utrapienie ptasząt latowały. Kuropatw jałowych było dosyć, nawet w lesie zbijały się w stadka. Nareszcie w pierwszej połowie października tłumnie nadleciała ilość nie do obliczenia kosów i drozdów, lecz przezorna Sylwanka już 16go gromadzić poczęła ptaki i transportami wysyłać, tak, iż do 21go wypędziła wszystkie, ochroniwszy je od głodu i zimna.

Rzeczywiście rok 1888 wyjątkowym był dla rolników, przyrodników i myśliwych i zasługiwałby na obszerniejszy nekrolog.

O l e j ó w w grudniu 1888.

PRAKTYKANT.

Opowiadanie starego leśniczego

powtórzył

A L E K S A N D E R U B Y S Z.

Ultimi Octobris, w późny wieczór, nie spałem jeszcze robiąc przegląd w regestrach leśnych. Na raz, czy mnie słuch nie myli, posłyszałem odgłosy dzwonków i zawzięte ujadanie moich gończaków. Wychodzę na dwór, chociaż ciemno, choć oko wykol, dojrzałem na podwórku dużą furę jakąś. Tej samej chwili młody człowiek podał mi list. Więc proszę do izby. Oddawcą listu był p. X... ukończony leśniczy szkoły Marjabruńskiej. Pryncypał mój, który bawił pod tę porę we Lwowie, na prośby matki p. X., polecił mi, ażebym temuż pokazał leśnictwo z praktycznej strony, osobliwie łowiectwo.

Dom miałem nie nader obszerny, więc młodego pana instalowałem w tak zwanej kancelaryi. Zanim siedliśmy do wieczerzy poczęto znosić z fury rzeczy. A ileż ich tam było! Dwa duże kufry mieściły garderobę, trzy inne spore paki i spód mierniczego stolika zabrały sporo miejsca w dość obszernej izbie.

Przy wieczerzy opowiedział mi p. praktykant przygody swej podróży. Z Sambora wyjechał o świcie, mimo to w leśniczówce stanął dopiero o 9tej.

— Jak na przestrzeń czteromilową, za mało pan ujechałeś, prawdopodobnie konie ustały.

— O nie! — odpowie — winna temu niedokładność mapy, którą się posiłkowałem. Nawet busola mi nic nie pomogła. Zbłądziliśmy.

— Trzebaż było wziąć przewodnika.

— Ach panie! — zawołał ze zgorszeniem. — Wobec mapy i busoli, cóżby znaczył rozum prostaczy? Ostatecznie, gdy się już zupełnie ściemniło, i poglądanie na mapę i busolę stało się niemożliwe, wziąłem przewodnika, który mnie przyprowadził.

— Jużem w domu — pomyślałem sobie. Panicz ten *ex libris doctus*. A nawet, jak wskazywało świadectwo celujące — *doctissimus*. Wychowanek miasta, nie zbłądzi w bibliotece, ale w lesie?...

Długo w noc gawędziliśmy — i wyznam otwarcie, zaimponował mi ten młody człowiek, oszołomił mnie bogactwem swej wiedzy. Wszystkie działy nauki przyrodniczej znał *expedite*, szpikując pogadankę tę, a raczej naukowy wykład, mnóstwem cytat, od których moja żona zasnęła.

Ja także począłem potakiwać, alias kiwać głową, tak mi się oczy do snu kleiły. Co wszystko mowca wziąwszy prawdopodobnie za potwierdzanie swych wywodów, w przedziwny wpadł zapał.

Ale czas było w końcu pójść spać.

Drugiego dnia, po zwyczaju, świtem ruszyłem w las, albowiem był dzień „wydatku“ z lasu. Wieczorem, wróciwszy do domu, anim poznał ubogiej mej kancelarji. Na ścianach dywany, nad łóżkiem kilka dubeltówek, torby, trąbki i tym podobne przybory, a wszystko nowiutkie, istne pieścidełka. Na ściennej półce umieścił swój liczny księgozbiór. Słowem, zgłupiałem i nie wiedziałem co ja pocznę z takim paniczem?

Trzeciego dnia ruszyliśmy obaj w las. Jakże się ubrał wytwornie! Mundur z cienkiego szaraczkowego sukna, z zielonemi wyłogami, takież pantalony z zielonemi lampasami. Głowę jego pokrywał styryjski kapelusz z upiętym z tyłu głowy pióropuszem z cietrzewiego ogona, ujętego w tarczkę z sarniej sierci.

Mówię mu:

— Będzie deszcz padał, więc szkoda sukni.

— Barometr mój wskazuje pogodę, więc deszczu nie będzie.

— A no dobrze — mruknąłem — teoretyku, zobaczysz kto ma rację, twój barometr, czy te mgły jesienne, które poszły w górę.

Pochód przez las odbywał się powoli, gdyż p. praktykant przy każdym chwaście lub ziółku się zatrzymywał, nazywając je po niemiecku lub po łacinie.

— Wracajmy do domu — mówię — za chwilę będzie deszcz.

— Zaraz — odpowiedział. — Ach, jak tu ślicznie, tylko za dziko. Ja zarazbym zaprowadził inny porządek. Zamiast mało cennej buczyny, zaprowadziłbym modrzewie. Co to za dochody z podobnego drzewa! Dziś świat, panie, praktyczny, więc sieje lub sadzi to, co więcej daje korzyści. Któż widział cierpieć np. tak znaczną przestrzeń samej osiczyny? Wyciąć, a raczej wykorczować, i zasadzić innym gatunkiem drzew.

— Ależ tej osiczyny około pięćdziesięciu morgów — wtrąciłem.

— I cóż z tego? W dobrach ks. Hohenstaufen, na całej przestrzeni jego lasów, ani jednej nie znajdzie osiki. Same dęby, świerki, lub akacje, które wyborny dają opał.

— Czy dają także materjał budowlany? — zapytałem — U nas gdzie sosen, świerków lub jodeł nie ma, osiki dają tak zwany chłopski budulec na dachy i ściany.

Rzęsisty deszcz przerwał dalszą naszą dysertację. Zanim doszliśmy do domu, mundurek i reszta ubrania pana praktykanta były w stanie opłakanym.

Pan praktykant, po pierwszej tej w las wycieczce, zaziębił się, dostał kataru i bolu głowy, i kilka dni przeleżał w łóżku.

A cóż to za utrapieniec ten niby uczony papinek! Uparty i zarozumiały, na każdym kroku krytykował nasze lasy, nasz klimat, naszą zwierzynę, cytując uczone dzieła niemieckie.

— A strzelać pan umiesz? — pytam go pewnego razu.

— Umiem odpowie — W akademii mieliśmy w pewnych dniach ćwiczenia w strzelaniu do tarczy.

— A do zwierzyny, w locie i w biegu?

— Umiem... — teoretycznie. To wykładał nam profesor fizyki. Gdy zastosuję naukę, jestem pewny, że nie chybię.

— A dobrze, zobaczymy! Nabij pan dubeltówkę i wyjdźmy na podwórze.

Była jesień, więc wrony latały stadami lub pojedynczo.

— Strzelaj pan — mówię.

Strzelił do nizko i ciężko przelatującej wrony — i chybił. Powtórzyło się to kilkanaście razy. Mówię mu tedy:

— Jakoś nie idzie... Poradź się pan dzieła niemieckiego, które traktuje o strzelaniu.

Kapitulował i prosił mnie o praktyczne skazówki. Począłem edukacyę myśliwską zarozumialca.

Jak mnię ś. p. rodzic mój do strzelby zaprawiał, tego sposobu i ja użyłem. Niewielki krążek, w bieg puszczony, przedstawiał zwierzynę „połciem“ biegącą. Taki sam krążek w powietrze różnym sposobem podrzucany, przedstawiał znowu ptaka w locie. Jakim sposobem brać na cel, wyłożyłem mu w krótkości, nie używając terminologii uczonych — i pozostawiłem własnemu jego losowi. Dużo napsuł prochu, zanim nabył nieco wprawy w szybkiem przykładaniu się.

Przed wigilią Bożego narodzenia dostałem był od sąsiada, leśniczego rządowego, zaproszenie na odbyć się mające polowanie. Pojechaliśmy wraz z moim praktykantem.

W czasach, gdy się to działo, o czem opowiadam, leśniczowie prywatni, a nawet rządowi, bywali zazwyczaj ludzie dobrze już nie młodzi. Leśniczymi rządowymi byli najczęściej wysłużeni wojskowi. Umiejętności leśniczowskie zawdzięczali jedynie praktyce, i przechodząc wszystkie stopnie służby leśnej, zostawali leśniczymi i nadleśniczymi. W Galicji nie było jak obecnie szkoły leśnej. Tak zwani „Vondraussery“ czyli, niekrajowcy, gdy który skończył szkołę leśną w Mariabrunn i t. p., po odbytej długoletniej praktyce, jako „Waldjunge“, „Waldelewe“, a następnie leśniczy i nadleśniczy, zajmował u nas w Galicji wyższą posadę w głośnym zarządzie domen i lasów. Prywatni właściciele lasów, jak obecnie wielu fałszywie twierdzi, oddawać mieli zarząd swych lasów nawet lokajom. Przy małych kompleksach lasu, o 50 lub stu morgach przestrzeni, bywało to w zwyczaju, lecz podobnie awansowany lokaj nie był leśniczym, tylko po prostu gajowym, bo gdzież był sens do tak małego lasu trzymać fachowego leśniczego? A powtarzam krajowej szkoły leśnej podówczas jeszcze nie było.

Najczęściej podobni ekslokaje, gajowi, sami przezywali się pompatycznie „pan leśniczy“, a utwierdzali ich w tem mniemaniu, przez pochlebstwo, chłopi. Większe majątki utrzymywały leśniczych i nadleśniczych, którzy znali się wybornie na kulturze leśnej i na miernictwie. A wszyscy nabyli wiadomości potrzebnych do tego zawodu przez długoletnią praktykę u leśników, którym i teorja nabyta przez czytanie dzieł stosownych nie była obcą. Oprócz tego każdy taki leśniczy był i myśliwym.

Myśliwstwo i w owych i w teraźniejszych i przyszłych czasach nie zakłada się na wystrzelaniu zwierzyny. Powinno się ją rozsądnie oszczędzać, rozciągać niejako opiekę nad nią w każdej porze roku. Lecz wszelkie do drobiazgów posunięte zajęcie się zwierzyną łowną, da się zastosować jedynie w zamkniętych parkach i zwierzyńcach. Chcący to samo zastosować w wolnym łesie, jest lub niepraktycznym, lub też blagierem.

Częstokroć do śmieszności posunięte są raporta leśniczych zagranicznych o stanie zwierzyny w ich rewirach. Tyle a tyle sztuk sarn — no, to można jeszcze uczynić — ale apodyktycznie podać ilość zajęcy i lisów, to już blaga. Zapewne, każdy taki leśniczy, podający liczbowy wykaz każdego gatunku zwierzyny, wie aż nadto dobrze, że pryncypał nie jest w stanie skontrolować prawdziwość podanej cyfry, jak się to z korcami zboża w szpichlerzu praktykuje. W ogrodzonym parku lub zwierzyńcu można zwierzynę przeliczyć co do sztuki, lecz w lesie — to bajka. Otropić stado wilków, dzików, lub sarn w miocie, uda się uczynić, lecz i to na „białej stopie“, po śniegu, przeliczywszy świeże tropy. Na „czarnej stopie“ jest to niepodobieństwem. Bo każdy gatunek zwierzyny, o każdej porze roku inaczej żyje, zbija się w stada, pojedyńczo lub parami chodzi...

Ale wracam do mego praktykanta.

Lasy rządowe, do których na polowanie nas zaproszono, miały pozycję górską t. j. poprzerzynaną jarami i potokami. Mój pan praktykant mocno był zgorszony, że polowano z gończakami.

— Jakto? — mówił — tu jeszcze taka staroświecczyzna, że polują z psami? Za granicą nikt już tym sposobem nie poluje. Bo słusznie mówił nam profesor, że zwierzyna się rozprasza światami, a wreszcie zgoniona dostaje przeróżnych chorób.

Na to złość mnie już porwała, więc rzekłem:

— Panie świeżo upieczony leśniku! Strzelać nie umiesz, i w wielu względach przekonasz się, żeś jeszcze student, a będziesz krytykował zwyczaj długoletnią wypróbowany praktyką? Jestże możliwe polowanie z nagonką po takich debrach i górach? Dwiestu ludzi do tego za mało, pogubią się po lesie, a porządne utrzymanie ludzi postępujących jest nie możliwe.

Łowy udały się przewybornie. Padło kilka sarn, kilka lisów i 40 zajęcy. Mój praktykant dubletem ubił kozła i kozę. W owym czasie strzelano jeszcze do kóz w porze zimowej. Chełpił się, że strzelał w biegu — lecz leśny Kaczuła

który pierw służył u mnie, na ucho pod „Bihme“ — powiedział mi „szczo pan prachtykant strylały do stojaszczych sarn“.

Że to, jak sam wyznał, były pierwsze w życiu ubite sarny, więc *antiquo more*, od najstarszego wiekiem leśniczego, wziął odlewane cztery sfory, w miejsce, które niedawno wycierało jeszcze ławy szkolne.

Praktykant ów, pod względem radzenia się we wszelkich wypadkach dzieł i podręczników, najzupełniej był podobnym owemu w facecjach powtarzanemu tancerzowi, który każdy taniec tylko od pieca rozpocząć umiał. Gdy takowego nie było, ani rusz. Do lasu idąc, brał z sobą dzieła o botanice, zoologii i myśliwstwie traktujące.

Kazałem mu raz odebrać narąbane sągi. Poszedł. Powinien był wrócić w południe — niema go. Nadszedł wieczór, jeszcze go nie widać. Zaniepokojony wysłałem gajowych, żeby go szukali — osobliwie, gdy jeden z gajowych który mu towarzyszył przy odbiorze sągów, mówił: Szczo pan prachtykant czytały w knyżci, taj het krokamy miryły stary zrub — a potem poszedł w las.

Zupełnie się już ściemniło, naraz wchodzi praktykant i raportuje, że odebrał sągi — i wręczył mi dwuarkuszowe pismo jakieś.

— A to co? — pytam.

— Plan koniecznie potrzebnej nowej kultury tego zrębu, wraz z kosztorysem.

Zaglądam w papier — istny las liczb, wraz z piśmiennemi wyjaśnieniami i t. p.

— Tego wymaga nauka i postęp — dodał praktykant tonem pouczającym, gdym twarzą zdradził pewne lekceważenie na te jego gryzmolstwa.

Uzbroiwszy się w cierpliwość, począłem pewnego wieczora czytać ów plan reformy w gospodarstwie leśnem. Kilkoletnie zręby, które bujnie się już zagaiły, niemniej jak najświeższy, co razem wynosiło około 40 morgów przestrzeni, radził praktykant zasadzić sadzonkami świerka, jodły i modrzewi, sprowadzając takowe z lasów górnej Austryi. Koszta: Za sprowadzone sadzonki 2.000 złr., korczowanie starych pni, kopanie dołków pod sadzonki, z dokładnem wyrachowaniem ile sadzonek na jeden morg wypadnie, obliczył na 4.000 złr.

— Zatem 6.000 złr. — mówię — a dochód? I po wielu latach?

— Po latach 40tu dochód będzie ogromny. Nawet mogę go wyliczyć...

— Ależ na Boga, daj pan pokój tym liczbom problematycznym.

— To ja proszę o zwrot mojego pisma; podam go tam, gdzie będzie lepiej przyjęte — dodał z nadąsaną miną.

Pewnego dnia we dwóch polowaliśmy na zające na samym skraju lasu, gdzie gończaki podłożono. Ja ubiłem dwa zające, on spudłował kilka razy. Ztąd zły humor i mówi do mnie:

— Jak tu zajęcy mało. W Niemczech lub Czechach na takiej przestrzeni byłoby ich kilkadziesiąt.

— Zapewne — dodałem — wyszłyby na pana „chmarą“ jak wróble i strzał byłby niechybny.

— Nie to miałem na myśli — odpowiedział — tylko, że się pan nie zająłeś hodowlą zajęcy.

— Jak to hodowlą?

— A tak. Pokażę panu dzieło znakomitego autora, w którem podaje sposoby, jak pewną okolicę, gdzie brak zajęcy, zapełnić zającami. Oto, kupiwszy kilkanaście par zajęcy gdzieś w parku, rozpuszcza się takowe w swoim lesie. Kto ma majątek rozległy, znacznie tańszym sposobem uskutecznić to może. W umyślnie do tego pobudowane klatki, samotrzaski, łapie się zające i przewozi na miejsce, gdzie ich nie ma.

Myślę sobie: Kpi czy o drogę pyta?... Poczekaj, zakpię ja z ciebie, i mówię:

— W istocie bardzo mądra rada, i wyborne sposoby. Jednakowoż i ja, koniecznością raz zmuszony, wynalazłem wyborny sposób chwytania zajęcy, o którym wątpię, żeby niemieccy autorowie wiedzieli. Po roku 1846 nastąpiło ogólne rozbrojenie kraju. Rząd zabrał nawet leśniczym wszystką broń myśliwską. Z tego wynikł nadmiar wszelkiej zwierzyny. Wilki i lisy truliśmy, dziki braliśmy po staremu na oszczep, a zające, które rozmnożyły się do ogromnej liczby, chwytaliśmy na wędki jak ryby. A robiło się to tym sposobem: Pod lasem stawiałem budę, z której, ukryty, w jasną księżycową noc w jesieni i zimie, wystawiałem kilkanaście cienkich sznurków z uwiązanemi na ich końcach haczkami, jakich się używa na szczupaki. Za przynętę służyły listki świeżej kapusty. Jak panu profesor zoologii powiedzieć musiał, kapusta jest dla zajęcy najłakomszym żerem. Otóż, nie było nocy, ażebym dwa, trzy, lub czasem więcej zajęcy nie złowił. Skaleczenie się zająca haczykiem jest tak nieznaczne, że odczepiony, żywcem da się przechować. Widzi pan, jemu pierwszemu, wyjawiłem tę tajemnicę.

— Mocno jestem obowiązany — rzekł pan praktykant — w istocie, żaden z niemieckich autorów o myśliwstwie tego sposobu nie podaje.

Praktykant, jak już wspomniałem, był gadatliwy i roztrzepany. Naraz, jakby do niego co przystąpiło, stał się milczącym. Ciągle przesiadywał w swej izbie, i jak mi słudzy mówili, czytał, nietylko dnie całe, lecz nawet do późna w nocy.

Pewnego dnia, najàwszy sobie koniki, pojechał do pobliskiego miasteczka, zkąd przywiózł znowu dawny swój dobry humor i gadatliwość.

Nastała zima, spadły zawalne śniegi, to jednak nie przeszkadzało praktykantowi, lubiącemu zresztą wygódki, robić często wycieczki do lasu. Ba, nawet przebywał w lesie od wczesnego ranka do ciemnej nocy.

— Co go napadło? — myślę sobie.

Najmłodszy mój gajowy wyjaśnił mi tę zagadkę, mówiąc: Że pan praktykant, na skraju lasu, zwanego „leszczakami“ — bo rewir ten gęsto był „podszyty“ leszczyną — poustawiał jakieś cudaki, które mu stolarz w miasteczku porobił.

Poszedłem aż ku owemu miejscu, i cóż tam zobaczyłem?... Oto sześć samotrzasków dużego rozmiaru, z koniczyną i snopami owsa wewnątrz, widocznie danemi na przynętę. Mnogie tropy zajęcze w około tych klatek świadczyły, że szaraki korzystały z tego dobrodziejstwa, i skubały smaczny żer przez szczeble, nie myśląc jednak włazić do wnętrza, gdzie czekała na nie za najmniejszem potrąceniem zamykająca się klapa. Kto mędrszy — zające, czy ów Niemiec, wydający z ilustracyami dzieło o myśliwstwie? Mówię tedy do p. praktykanta:

— Widziałem ów niemiecki wymysł. Na nic on się nie przyda. Pocóż zającom leść do samotrzasku? kiedy, skubią przynętę przez dość rzadkie szczeble.

— A prawda! — odpowiedział skonfundowany. — Tego nie przywidziano w mojem dziele, sławnem na całe Niemcy.

Poczynił poprawki w samotrzaskach, ściany jego szczeblowe deszczułkami zasłaniając.

— Najmędrszy wynalazek wymaga częstokroć poprawek. I ja to uczyniłem — dodał chełpliwie.

Po upływie tygodnia, pytam go:

— A jak tam z zającami? Łapią się?

— Nie! — odpowiada.

— Jakże pan chcesz, żeby szły zające do samotrzasku, kiedy nie widzą przynęty...

— A! a! prawda!... Ale wyraźnie stoi wydrukowane, że to wyborny środek do chwytania zajęcy, jeśli się chce je puszczać w takie miejsca, gdzie ich nie ma.

— Widzi pan — mówię mu — dobry to sposób, ale w Niemczech; u nas się na nic nie przyda. Tu tylko krajowe środki skutkować mogą.

Nie spodziewałem się, ażeby ta żartobliwie wypowiedziana uwaga wywarła na nim wrażenie.

Do okna izdebki p. praktykanta przytykał sad i ogród warzywny. Śniegi były duże, wichry ponadymały go w wysokie zaspy, tak, że zające nocną porą zachodziły aż w sad, aby ogryzać korę młodych szczepów.

Pewnego dnia mówi mi gajowy, a powiernik praktykanta:

— Jest coś nowego; p. praktykant co nocy zarzuca wędki w ogrodzie na zające.

Teraz dopiero wyjaśniła mi się zagadka, czemu w cieplutkiej niegdyś izdebce, zimno teraz jak w psiarni. Praktykant, okno na rozcież otworzywszy, wyrzucał kilka sznurków z szczupaczemi u końca wędkami, na które zatykał liście kapuściane jako przynętę...

Myślałem, że pęknę ze śmiechu. Chłopczysko aż zmizerniało z chłodu i ustawicznego po nocy czuwania. Nareszcie wydawało mi się, że dość już tych błazeństw i dla radykalnej kuracyi łatwowiernego teoretyka, następującego użyłem środka.

W lamusiku trzymałem od mała chowanego zająca. Mówię tedy leśnemu:

— Dziś w nocy, skoro praktykant wędki w ogród zarzuci, weźmiesz naszego zająca i cichaczem zahaczysz pyszczek jego na jednej z wędek — a sam, żeby cię nie spostrzegł, w nogi.

Sam czuwam w nocy i myślę, co to z tego będzie. Naraz rozlega się śród ciszy nocnej pod drzwiami mojemi głos praktykanta:

— Jest panie, jest!

Nie wychodząc, mówię mu na to:

— Ułowiony zając, to dobry pański znajomy, w lewy słuch wetknąłem mu wczoraj drucik dla łatwego poznania.

Pan praktykant kilka dni był na mnie nadąsany. Gdy mi wyrzucał, że zeń zadrwiłem, odpowiedziałem w obronie własnej:

— Alboż to Niemcom jedynie wolno głosić niewykonalne teorye?

I czy myślicie państwo, że zmądrzał? Gdzie tam, został zawsze teoretykiem i więcej siedział w książkach niż w lesie. Ale zato pisywał uczone korespondencye do pism zagranicznych — i musiały te jego elaboraty bardzo się podobać, bo po niejakim czasie ofiarowano mu posadę nadleśniczego w jednym z większych majątków.

Kilka uwag o chorobach sarn i zajęcy.

Korespondencya pana H. Sozańskiego z Kimirza, umieszczona w numerze 10 „Łowca“, pobudziła mnie do skreślenia tych kilku uwag.

„Nie ma choroby bez przyczyny“, słusznie twierdzi przypowieść. Człowiek przez różne nadużycia, nadmiary, a częstokroć przez fałszywe rozumowania, przysparza sobie dolegliwości. Przeciwnie zwierzę, osobliwie dzikie, instynktem jedynie się kierując, nie zna nadużyć lub nadmiarów. Spożywa jedynie tyle, ile dla zachowania jego jestestwa potrzeba. Instynkt zachowawczy przestrzega je przed spożywaniem ziół trujących lub szkodliwych, jak koniczyna. Któż bowiem dostrzegł, ażeby sarny, żerując na koniczynie, uległy tym samym co i bydło rogate lub owce skutkom, a nawet śmierci, przez nadmierne jej użycie? A przecież sarny, do tego co i oba wymienione rodzaje zwierząt domowych, do rzędu przeżuwaczy należąc, ustrojem wewnętrznym są najzupełniej do siebie podobne.

Cóż chroni dzikie zwierzęta od wielu przypadków lub chorób? Wyższa, że się wyrażę, inteligencya, bystrzejszy dar spostrzegawczy, zwykły tylko u istot samodzielnie żyjących.

Zwierzę swojskie spożywa to, co mu jego właściciel poda. Zwierzę dzikie to, co samo sobie wynajdzie.

Wyszukiwanie zdrowego żeru, łatwe przy korzystnych warunkach. Lecz cóż ma począć zwierz dziki przy niekorzystnych warunkach, jak słotne jesienie lub lata, spóźnione wiosny i t. p. Głód dokucza, nie pora być wybrednym. Spożywa więc na pół zgniłe zioła, trawę mułem pokrytą, spleśniałe siano, które, że stęchłe, nie do użycia, poniechano na leśnych polankach. Do tego w końcu, na co szczególną zwracam uwagę, przybywa wiosenne żerowanie sarn na oziminach, lub polach zasianych rzepakiem, zanim je, jak to mówią, „deszcz spłukał“. Z czego? Z owej pleśni pod śniegiem wytworzonej, a na roślinach osiadłej.

Pleśń ta wytwarza się na łąkach, oziminach, rzepakach, i wogóle miejscach, gdzie dłuższy czas grubą warstwą śnieg zalegał. Każdy czytelnik łatwo się o tem przekona na wiosnę, przed deszczem, który pleśń tę z roślin spłukuje. Pod każdą zamiecią, lub grubą warstwą długo leżącego śniegu, po jego zginięciu, uwidocznia się rodzaj meszku popielatej barwy, pokrywającego rośliny, podobnego do pleśni, która pokrywa chleb, gdy w wilgotnem leżał miejscu.

Ubiegła zima, jak nam wiadomo, bardzo była w śnieg obfitą, toż pleśń owa wogóle uwidoczniła się na polach. Sarny i zające, po zginięciu śniegów, żerując na oziminach lub rzepakach ową pleśnią pokrytych, zamuliły sobie żo-

łądki. Pleśń ta, czyli mikroskopowy grzybek — jest trucizną, działa powolnie lecz strasznie. Sprzyja on rozwijaniu się znanego pasorzytu *(Distomum hepaticum)*, powodującego chorobę wątroby „motylicą“ zwaną, kaszel i mocne wychudnięcie. Choroba motylicy, której towarzyszy zazwyczaj choroba płuc kończy się śmiercią.

Kto miał sposobność widzieć bydło rogate lub owce, stęchłą, spleśniałą paszą karmione, dostrzegł zapewne, że całem stadem uległy chorobie motylicy, kaszlały przytem, — i mało które nie uległo śmierci. Choroby wątroby, z chorobą płuc w następstwie, najzwyklej z wiosną się objawiają. Dla tej przyczyny p. hr. Jerzy Borkowski w korespondencyi swej w nr. 11 „Łowca“ umieszczonej dostrzegł, że ubite na łowach zające, chore były na motylicę.

Zkąd wzięła się owa motylica, zazwyczaj po słotnych latach się objawiająca? Rok ubiegły był przecież suchym. Oto wskutek owego spożycia pleśni podśniegowej, o której wspomniałem.

Jak jest szkodliwą każda pleśń, niech za dowód posłuży, że nawet konie, paszą stęchłą i slpeśniałą karmione, popadają w „dychawicę“.

Skrzętny gospodarz nie poda swemu inwentarzowi spleśniałej paszy do spożycia. Ale co ma czynić sarna, zając? Koniecznością zmuszone, muszą pożywać takową — czego następstwem przeróżne choroby, „stadem“ czyli epidemicznie się pojawiające.

Czy myśliwy jest w stanie, ochronić swój zwierzostan od podobnych smutnych następstw? Jest — przynajmniej wczęści, odpowiem. A to tym sposobem:

1. Nawet po zniknięciu śniegów, aż do zielonej paszy, poddawać sarnom koniczynę, siano, wykę, owies w snopach.

2. Na lizawkach, odświeżyć „nalepę“, uczynioną z przepalonej gliny, tak zwanej „peczyny“ z dodaniem ropy solnej, ziela piołunu i na proch utłuczonego nasienia anyżu. Mięszanina ta jest dobrym ochronnym środkiem.

Chorobie racic lub pyska ulegają tak samo sarny jak i bydło rogate lub owce. Choroba ta jest najczęściej następstwem posusznych lat. Łatwo zaraźliwa, przenosi się z sarn na bydło rogate, lub odwrotnie. Kto ją pierw u sarn postrzeże, niech z trzodą swą starannie unika tych miejsc, gdzie chodzą sarny. Jedno bowiem przejście śladem, którędy przeszły chore sarny, wystarczy, żeby choroba ta udzieliła się zdrowemu bydłu lub owcom.

Środkiem ochronnym przeciw tym chorobom, jest częste pojenie inwentarza zdrową wodą, i, gdy na to okoliczności pozwalają, pławienie w stawie lub rzece.

Dbały o swój stan sarn myśliwy, ochroni takowe od choroby pyskowej, skoro się postara, żeby w kniejach jego przez cały rok była czysta, zdrowa woda. Gdzie niema potoków lub źródeł wierzchem płynących, tam — jak to się czyni w Czechach i Niemczech — kopie się po lesie studzienki, wodę z nich wyciągniętą wlewa do korytek w ziemię wkopanych — a po pewnym czasie zwierzyna leśna, zwęszywszy wodę, nią się poi.

Wyschnięcie źródeł w lesie wypłasza sarny z miejsc chociażby najbardziej im ulubionych. Idą za nią szukać częstokroć w dość odległe strony — i nie zawsze powracają do swych rodzinnych ostoi.

Brak wody jest główną przyczyną strasznej dla bydła rogatego i sarn choroby żołądka, zwanej „księgosuszem“.

Na bezwodnych stepach Bessarabii, gdzie bydło częstokroć zaledwie raz na trzy doby skąpo napojonem być może, księgosusz niemal nigdy nie wygasa.

A. Ubysz.

KORESPONDENCYE.

Krukienice 15. grudnia.

(Zające w lisiej norze).

Faktu, opisanego przez p. L. D. w korespondencyi z Cieszanowa*) między bajki chyba włożyć nie myślimy, gdyż i ja miałem parę razy podobne zdarzenie. Jedno z nich bardzo szczególne opowiem tutaj.

Było to w roku 1857. Polowaliśmy z chartami we trzech, pp. Lisicki, hr. Zygmunt Drohojowski i ja. Poszczuto zająca na pagórku; charty pomknęły za nim, lecz zaraz na drugiej stronie pagórka była i jest do dziś dnia gruba, rzadka dębina, niby pastwisko miejscami głogami zarośnięte, należące do Pnikuta. W tej dębinie zając nam znikł, zanim charty zdołały przebyć pagórek. Szarak musiał się przemknąć popod pagórek, a charty poszły prosto i tym sposobem straciły go z oczu. Jedziemy więc dalej i szczujemy drugiego szaraka na tym samym pagórku. Z tym dzieje się to samo; ginie w tej rzadziutkiej dębinie, gdzie może 20 dębów na morgu stoi. Rozgniewani jedziemy dalej. Na łące w łozach pomyka lis i sunie prosto do dębiny. Charty tuż za nim i tylko co wziąć go miały, gdy daje nura do jamy. Tę ucieczkę śledziliśmy już dobrze, zresztą charty darły się do jamy za lisem. Kopać było niepodobna, bo pagórek stromy a jama w brzegu pagórka. Postanowiliśmy zatem mykitę z jamy wykurzyć. Posłałem furmana do folwarku; przyniósł słomy i zaczęliśmy kurzyć. Po chwili słyszymy kichanie. Ja stanąłem ze strzelbą przy jamie, bo chociaż na koniu i z chartami, woziłem ze sobą strzelbę i jastrzębie z konia strzelałem. Naraz wyskakuje z jamy zając, to przysiada, to jak pijany zatacza się, w końcu pomyka i uchodzi niestrzelany i niegoniony, bo charty odesłano tymczasem do domu. Czekam na lisa. Słyszymy znów kichanie a za chwilę wyskakuje drugi zając znów w podobny sposób, to zataczając się, to stając słupka, w końcu pomyka jak strzała, także niestrzelany. Czekam na lisa. W końcu zaczęło się ściemniać, i musieliśmy jamę porzucić nie dostawszy lisa, choć na własne oczy widzieliśmy, że tam wlazł. Z tego widać, że lis zastawszy w jamie dwa zające, wyrugował je z kociołka lecz ich nie tknął, a później nie puścił ich już napowrót do kociołka, więc musiały siedzieć niedaleko w jamie i gdy im dym zaczął dokuczać, wyskoczyły przez ogień na powietrze.

Jan Ostrzechowski.

*) Patrz Nr. 12. „Łowca“ z r. 1888.

Lisiatycze d. 12. grudnia 1888.

Przeczytawszy w ostatnim numerze „Łowca“ korespondencyę z datą Cieszanów 1. listopada podpisaną literami Ł. D., w której szanowny korespondent podnosi jako nadzwyczajne zdarzenie skrycie się zająca przed jamnikami do lisiej jamy, nabrałem i ja ochoty podać do szerszej wiadomości dwa podobne a może nawet oryginalniejsze jeszcze zdarzenia.

Otóż przed dziesięciu może laty polowałem w towarzystwie ś. p. Edwarda Hoscha i kolegi mego Bronisława Nartowskiego w trzystu-morgowym lasku na zające i lisy. Gdy w jednym miocie nagonka zbliżała się już do linii strzelców, pomknął na Nartowskiego zając — ten strzela raz i drugi, a zając wraca na nagonkę. Chłopcy, widząc sadzącego ku nim szaraka, robią ogromny hałas i nie puszczają, w tem jak kamień w wodę, zając przepada. Po skończonym miocie Nartowski, któremu się zdawało, że zając jest postrzelony, idzie w miejsce, w którym mu naciskany przez chłopców szarak raptem znikł z oczu, i widzi lisią jamę, ale zająca nie ma. Debata więc i sprzeczka, co się ze zającem stało? Ś. p. Hosch, stary i doświadczony myśliwy, twierdzi, że zając poszedł zdrów, Nartowski zaś, że musiał wleźć do jamy (a było to na czarnem polu więc tropów nie widać). Nareszcie, by rozstrzygnąć spór, posyłam do leśnego po łopaty i kopiemy w kierunku jamy. Po godzinnem może kopaniu, w odległości kilku sążni od okna jamy, wykopujemy ogromnego szaraka, już nieżywego. Nie przypominam sobie tylko, czy był lub nie był postrzelony.

A oto drugie zdarzenie jeszcze zabawniejsze. Było to z końcem sierpnia przed sześciu laty. Wyjechałem konno w pole, a za mną powlokły się cztery psy, duży dog duński, dwa brytany i malutki angielski legawiec, nawiasem mówiąc, ogromny gałgan. Wtem pomyka zając; psy za nim — ja z konia przypatruję się tym wyścigom zupełnie o zające spokojny. Raptem w odległości kilkuset kroków psy stają jak wryte, a zająca nie widać. Podjeżdżam i widzę na ściernisku lisią jamę. Nauczony poprzedniem doświadczeniem i będąc już pewnym, że zając w jamie, złażę z konia i próbuję naszczuć mego miniaturowego legawca do jamy. Z początku nie miał odwagi, ale w końcu wsunął się ostrożnie i zniknął. Czekam może pięć do sześciu minut, przykładam ucho do jamy — nic nie słyszę. Nareszcie po dziesięciu minutach pokazuje się z jamy ogon mego legawca a za nim i cały legawiec, ciągnący zająca, także już nieżywego. Oto dwa zdarzenia, za których prawdziwość ręczę, a na pierwsze mam nawet żyjącego świadka Bronisława Nartowskiego, obecnie c. k. notaryusza w Skolem.

Adam Onyszkiewicz.

Oskrzesińce 22. grudnia 1888.

(Z pięciodniowych łowów).

W dniach 15. i 17. b. m. odbyło się polowanie u hr. Klemensa Dzieduszyckiego w Martynowie, a następnie przez trzy dni z rzędu, w dzierżawionych przez niego, wraz z panami Franciszkiem Jaruntowskim i Aleksandrem Krzeczunowiczem, lasach bursztyńskich.

Dnia pierwszego w 4 strzelby ubito 12 zajęcy. W drugim dniu, gdyby nie czas fatalny, darzący nas przy silnym wichrze mokrym śniegiem i deszczem, byłyby się łowy znacznie lepiej powiodły, gdyż braliśmy wielkie trzciny i łozy martynowskie, sławną siedzibę lisów, gdzie w roku zeszłym udało się p. Fr. J., na jednem tylko stanowisku, prócz rogacza i zająca, strzelać aż do 7. lisów. Tym razem, przez cały dzień pokazał się jeden tylko z tych ponętnych szkodników, który nie chroniąc przed plutą pięknego futra, naraził się na szkaradny czas i nagłą śmierć na linii myśliwych.

Dnia 17. przeszliśmy w piękne knieje bursztyńskie. Po miotach ciągnących się wzdłuż linii kolejowej, gdzie nic nie było, wstąpił duch w myśliwską drużynę dopiero na głębszym lesie. Tu różnorodność i ilość zwierzyny ożywiły upadającą wesołość i obdarzyły niejednym zajmującym lub wesołym epizodem.

Niektórym z myśliwych, nieznających praktyczności drylinga, brak tegoż okazał się bardzo niemiłym, a fakt, który przydarzył się baronowi R., ubawił wszystkich serdecznie. W chwili, w której niespodzianie odyniec stanął na przeciw niego o kilkadziesiąt kroków, baron R. pospieszył zmienić ładunki, lecz włożył tylko jednę kulę. Tymczasem sąsiad, nie wiedząc nic o bliskości grubszego zwierza, chybił do rogacza. Gdy odyniec spłoszony cofnął się w gąszcz, p. R. posłał na pomoc sąsiadowi niefortunnie ową jednę kulę, a wtem, zwróciwszy się, spostrzegł tuż na przeciw siebie siedzącego zająca. Zirytowany tym *embarras de richesse* wypalił czemprędzej z drugiej lufy, ale... próżnej — więc oczywiście bez skutku.

Dzień następny, pogodniejszy, powiódł się najlepiej. Tym razem dopisała nietylko *quantitas* ale i *qualitas*. Wiadomość o obtropionych dzikach podniosła ogólnie animusz. Zapomnieli o znużeniu nawet ci, którzy, nie pomni na trudy przebyte i te, które nas jeszcze przez dwa dni czekać miały, większą część przeszłych nocy spędzili nad marnym wistem. Szli dzielnie wraz z innymi pół mili, po nie zbyt równym terenie, aby cicho zająć miot naznaczony. W miocie tym strzelano do czterech dzików; 2 padły ubite przez panów T. i L. Horodyskich. Szczególnie strzał drugiego z tych myśliwych dany z expresa był dzielny, bo ugodził na połeć o jakie 70 kroków dzika, który pędził już po strzałach w ogromnych skokach przez niską gęstwinę.

Ostatniego dnia polowaliśmy w mniejszym rewirze, w odosobnionym krąglaku nastaszczyńskim, gdzieśmy mimo licznych tropów z dzikiem się już nie spotkali.

Ogólny wynik polowania przedstawia się następująco: dnia 15. w 4 strzelb 12 zajęcy; 17. w 10 strzelb 1 lis, 26 zajęcy, 2 sowy; 18. w 9 strzelb 1 dzik, 3 rogacze, 22 zajęcy; 19. w 9 strzelb 2 dziki, 4 rogacze, 1 lis, 8 zajęcy; 20. w 9 strzelb 3 lisy, 16 zajęcy, 2 sowy, razem: 3 dziki, 7 rogaczy, 5 lisów, 84 zajęcy, 4 sowy = 103 sztuk.

Korzystając z gościnności hr. Kl. Dz., tak w rodzinie jego tradycyjnej i na wskróś serdecznej, spędziliśmy wszystkie te dni w domu ich jak najmilej, a polowaliśmy najprawidłowiej, pod dzielnem kierownictwem jego spólników, panów Fr. J. i A. K. To też nie dziw, że każdy z nas, opuszczając Martynów, westchnął i pomyślał: „Szkoda, że już po polowaniu!“

Stefan Tustanowski.

Kobyla 18. listopada.

W naszym zakątku tylko echa o pustynniku odbiły się, ptaków tych jednak nikt w naszej okolicy nie widział.

Czy pędzone burzą, czy ciekawością oglądania cudów zachodniej kultury, a może wystraszone świstem zbliżającej

się do ich ojczyzny lokomotywy, dość, że puściły się te ptaki na wolę wiatru w przeciwnym kierunku jak się posuwa *„der Drang nach Osten“* i tu ich lęg zaskoczył.

Wątpię, by tym mieszkańcom pustyń podobały się zachodnie krainy, gdzie każda piędź ziemi uprawna, gdzie nawet za ciasno panu przyrody — człowiekowi. Klimat mniejszą stanowiłby przeszkodę, wszak pustynniki i w swojej ojczyźnie pod zimę posuwają się ku południowi, mogłyby więc i w Europie o porze zimniejszej to samo uczynić; ale właśnie brak wielkich pustych obszarów wystraszy je z Europy. Wyjątkowo to przybyli nam ze Wschodu tak mili goście.

Polowania w tej okolicy nie szczególne, życie towarzyskie z każdym rokiem słabnie, a więc i nas możnaby nazwać pustynnikami! W nadgranicznych włościach plagą dla zwierzyny są psy gończe z za kordonu. Polują tam bowiem w każdej porze i prawie codziennie, a polują pisarze wiejscy i im podobni dygnitarze, niemniej i starsi z tamtejszej straży pogranicznej. Ta ostatnia okoliczność powstrzymuje nas od tępienia tych psów gończych, przekraczających tak nielegalnie granicę, bo nieprzyjemnościami różnego rodzaju odwzajemnionoby nam się w stosunkach nadgranicznych. Tak więc i teraz jak dawniej żyjemy na kresach — ale bezbronni. *M. Konopacki.*

Stare miasto w listopadzie.

(Zatrucie ryb.)

Rybakiem będąc z zamiłowania, ciężkiego doznałem smutku, postrzegłszy pewnego dnia wodę w naszym Dniestrze, mętnie zabarwioną, a co gorsza, dziwnie cuchnącą, a na stojącej przy „jazie“ wodzie sporo ryb „pośniętych“. Dłuższy czas byłem przekonany, że przyczyną tego źródło nafty, które gdzieś w pobliżu wytrysło. Rzecz się ma przeciwnie: oto w Łomnie urządzono i puszczono w ruch fabrykę kwasu siarkowego. Odpady z retort wypuszczono w potok, a ten zanosi trujące substancye do Dniestru. Czy na to pozwalają ustawy ochronne? Woda zatruta na kilkunastomilowej przestrzeni wytruje ryby doszczętnie. Na cóż, zapytam, przydały się trudy w zarybianiu Dniestru przez nieoszacowanego naszego Dr. Maksymiliana Nowickiego podjęte? Szanowny Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, raczy podnieść tę sprawę w Wysokim c. k. Namiestnictwie. *A. G.*

Sprawozdania łowieckie.

— W Rudnikach, w Stryjskiem, na polowaniu odbytem dnia 15. listopada z. r. w ośm strzelb ubito 5 dzików 6 rogaczy, 2 zające. Zajęcy dużo wypłoszyły nagonki, lecz z umysłu ich nie strzelano mając na względzie dziki i rogacze. *W. B . . . . .*

— W Brodach, w rewirze Berlińskim, odbyło się dnia 19. listopada, pod zarządem p. Ignacego Frenkla, rządcy państwa Brodów polowanie. W strzelb szesnaście ubito na śniegu 1 dzika, 3 rogaczy, 10 zajęcy i 1 lisa. Dzików dużo tam zawsze, ale nigdy ich nie tropią. Strzela się zatem najczęściej śrótem.

Dnia 26. listopada, odbyło się po czarnej stopie, w temże państwie polowanie, a to w rewirze Buda. Strzelb było za mało, bo tylko dziesięć, a mioty na 28. Strzelano do dziesięciu dzików, lecz padł tylko 1 dzik i lis.

M. hr. Tyszkiewicz.

— W Korsowie, własności p. Bogusława Horodyńskiego, odbyło się polowanie dnia 17. listopada i w strzelb cztery ubito na śniegu 1 rogacza, 50 zajęcy, 3 lisy, oraz kaczora krzyżówkę. Podnieść należy w tej kniei wzorową ochronę zwierzyny, karmienie jej przez całą zimę, a niszczenie szkodników. Straż leśna nie strzelała zajęcy, więc drugie tyle przepuszczono bez strzału.

M. hr. Tyszkiewicz.

-- W Turce, koło Kołomyi, odbyło się dnia 26. listopada polowanie. Dzień był nie listopadowy, ale letni i z tego powodu zające się wykpiły. Mimo licznéj nagonki dwie trzecie szaraków wróciło nazad. Lisom za to sprawiono łaźnię, jakiej pewnie w Turce nie pamiętają. Wynik polowania następujący: kozłów 16, lisów 18, zajęcy 167 i 1 sowa. Ogółem 202 sztuk.

Łożą tu wielkie starania około podniesienia zwierzostanu. Gdyby w innem miejscu połowa była tych sarn co tutaj, już by podano o pozwolenie o odstrzelanie kilkunastu sztuk. *G. Głuchowski.*

— W Kimirzu, w listopadzie, z. r., w ostępie naszym zwanym „Waraż“, w pięć strzelb ubito 2 kozły, 9 zajęcy i 3 lisy. Dnia 2. grudnia któryś z kłusowników, przez pomyłkę, polując śród ciemnej nocy, zamiast dzika lub jakiej innej zwierzyny, ubił swojskiego wieprza. Czynna i bardzo energiczna żandarmerja z Przemyślan, śledzi za przestępcą. Dodam, że dzięki żandarmerji, znacznie w naszej stronie kłusowników ubyło. *H. Sozański.*

— W Dołpotowie, w powiecie Kałuskim, w majątku p. Franciszka Rozwadowskiego, polowano d. 7. grudnia w ośm strzelb i ubito w 8 miotach 5 lisów, 4 rogacze, 18 zajęcy i sowę uralską. Dano 84 strzałów. Stan sarn lepszy jest niż w ubiegłych latach. *W. W.*

— W Daszawie, majętności pani Felicyi Sozańskiej, odbyło się w dniach 10., 11., 12. i 13. Grudnia b. r. doroczne polowanie. Grono myśliwych składało się z dwunastu zaproszonych na tę prawdziwą ucztę św. Huberta. Rezultat polowania wypadł, jak co roku świetnie, zliczono bowiem na rozkładzie: 12 dzików, 26 rogaczy, 17 lisów, 39 zajęcy, 1 jarząbka i 1 kunę leśną. Pierwszy dzień polowania po czarnej stopie, drugiego dnia zaś tropiono już dziki po śniegu.

Niech mi wolno będzie, w imieniu kolegów myśliwych, wyrazić tutaj łaskawej właścicielce serdeczną podziękę za zaproszenie i staropolską gościnność, z jaką drużyna myśliwska podejmowaną była, p. Juliuszowi Jełowickiemu zaś zupełne i słuszne uznanie za wzorowe i niezmordowane kierownictwo osobiste polowaniem.

Juliusz Tarnowski.

— W Lubiankach w powiecie Zbaraskim odbyło się d. 15. grudnia polowanie, na którem w osiemnaście strzelb ubito 1 kozła i 68 zajęcy. Za chybione strzały zebrano 6 zł. 50 ct. i przeznaczono takowe na stypendyum im. Henryka Strzeleckiego. *Fr. Słoński.*

— W Bobrku, majątku księżnej Bogdanowej Ogińskiej, odbyły się polowania w dniach 18., 19. i 20. grudnia. W 10 strzelb ubito 462 zajęcy, 12 rogaczy i 4 cietrzewie. Rezultat ten świadczy najwymowniej o racyonalnej gospodarce łowieckiej i ochronie zwierzyny w lasach bobreckich. Znani z gościnności i uprzejmości księstwo Ogińscy nie

szczędzili trudów, aby kilkudniowy pobyt gościom swoim uprzyjemnić. Wszyscy też przy pożegnaniu wynieśli najprzyjemniejsze wrażenie i uczucie wdzięczności za doznaną gościnność i zgotowane im w Bobrku prawdziwie myśliwskie gody. *K. Truskolawski.*

— W Małkowie, Rozdziałach i Ustkowie pod Sieradzem, w Królestwie, odbyło się przeszłego miesiąca wielkie polowanie, na którem ubito 300 zajęcy, 8 kozłów, 6 lisów i 5 dzików. Polowanie to odbyło się pod umiejętnem kierownictwem p. J. P., który nietylko jako myśliwy, lecz jako doświadczony i postępowy gospodarz, słynie w okolicy.

— W Krzelowie, jak donosi *Gazeta kielecka*, w czasie odbywającego się polowania, postrzelony dzik wybiegł na pola raszkowskie i rozpruł brzuch pracującemu tam włościaninowi. Wieśniak, doszedłszy jeszcze o własnych siłach do chałupy, zakończył wkrótce życie.

— W Frajnie na Morawach, w własności hr. Edwarda Stadnickiego, odbyło się w pierwszych dniach grudnia polowanie. W ciągu siedmiu dni, z których 5 polowano po polach, a 2 w lasach, zabito 2 łanie, 12 kozłów i 830 zajęcy.

KRONIKA.

Polowania dworskie. Dnia 20. listopada odbyło się w dobrach cesarskich w Hodoninie (Göding) na Morawie pierwsze z zapowiedzianych tam trzech polowań dworskich. Między zaproszonymi gośćmi byli także ministrowie hr. Schönborn i Zaleski. Łowy powiodły się znakomicie, padło bowiem 1.370 sztuk rozmaitej zwierzyny.

Drugie polowanie w Hodoninie odbyto d. 2. grudnia. Grono myśliwskie stanowili: arcyksiążę Franciszek Ferdynand-Este, w. ochmistrz ks. Hohenlohe, w. koniuszy ks. Thurn-Taxis, jenerał kawalerji ks. Croy, ambasadorowie: niemiecki ks. Reuss, włoski hr. Nigra, hiszpański Don Merry del Val, belgijski hr. Jonghe, bawarski hr. Bray-Steinburg, w. łowczy hr. Traun, hr. Guido Thun, feldm. Latour, komend. jen. bar. Koenig, szef sztabu jeneralnego bar. Beck, feldz. bar. Tiller, minister rolnictwa hr. Falkenhayn, w. kuchmistrz hr. Wolkenstein, minister Orczy i hr. Wurmbrand. Padło 2.702 sztuk zwierzyny a mianowicie: 1 jeleń, 12 kozłów, 748 zajęcy, 534 bażantów, 438 kuropatw, 337 królików i dwie drobniejsze sztuki.

Dworskie polowania *par force* w okolicy Gödöllö na Węgrzech, otwarto będącem w zwyczaju polowaniem w dzień Św. Huberta d. 3. listopada. Na polach w Rakoc zebrała się konno świetna drużyna, złożona z najpierwszych reprezentantów szlachty węgierskiej. Czas był bardzo brzydki. Zimny deszcz rosił od rana i stawał się coraz gwałtowniejszym, tak, że gdy cesarz o godz. 11. się pojawił, przeważna część dostojnych myślimych była już do nitki przemoczoną. Około godz. 11½ puszczono w Szent-Michaly jelenia. Gdy „*Earth-stopper*“ doniósł o tem, puszczono psy ze sfor, i cała kawalkada z cesarzem na czele ruszyła z kopyta. Gonitwa trwała przeszło pół godziny, nim psy osadziły jelenia i odezwało się wesołe „Hallali“. O godz. 2 popołudniu wrócił cesarz do Gödöllö.

Na polowaniach dworskich w Ekartsau, w czasie od 11 do 14 listopada r. z., w których brał także udział hr. Artur Potocki, padło 56 jeleni łań i cieląt i 4 kozły. Arcyks. Rudolf ubił 4 jelenie, 7 łań, 2 cieląt, 1 kozła, hr. A. Potocki 5 jeleni i 1 kozła. Reszta zwierzyny padła od strzałów innych uczestników polowań, którymi byli arcyks. Franciszek Ferdynand-Este, ks. Teodor bawarski, ks. Leopold bawarski, ks. Filip Koburski, don Miguel Braganza, hr. Karolyi i malarz nadworny Pausinger.

Na polowaniach dworskich w Chlumetz padło 9 jeleni, 13 łań, 3 cieląt, 12 kozłów, 702 zajęcy, 1 tumak, 1 cietrzew, 6 bażantów, 57 kuropatw, 3 słonki, 1 łabędź dziki i inne drobne. Pojawienie się łabędzia w tamtejszej okolicy uważają za przepowiedź bardzo ciężkiej zimy.

Na łowach cesarskich, które się odbyły w dniach od 6. do 15. października z. r. w kniejach Mürzsteg-Neuberg w Styryi, padło wedle urzędowego wykazu: 30 jeleni, tj. 3 czternastaki, 1 dwunastak, 4 dziesiątaki, 11 ósmaków, 6 szóstaków, 1 widłak i 4 szpiczaki, 18 łań i 3 cielęta; 72 kozic, a między tem 42 samce, 28 samic i dwoje cieląt; 1 kozioł i 1 zając alpejski, razem 125 sztuk. Cesarz Franciszek Józef ubił 3 łanie, 3 kozice i kozła, cesarz Wilhelm II, 2 ósmaki i 4 kozice, arcyksiążę Rudolf 2 dziesiątaki i 12 kozic, król Albert saski 1 czternastaka, 1 ósmaka, 1 szóstaka i 2 łanie, książę Walii 5 kozic. Reszta padła od strzałów innych uczestników polowania.

Przepyszne trofea myśliwskie preparował temi czasy znany zakład preparatorski braci Hodek we Wiedniu. Są to pamiątki z łowów cesarza Wilhelma II., arcyksięcia Rudolfa i ks. Walii, a mianowicie: jeleń szesnastak, zupełnie biały, ubity przez cesarza Wilhelma w rewirze Potsdamskim, orzeł bielik, zastrzelony przez arcyksięcia Rudolfa, o dwumetrowym sięgu skrzydeł i pyszna kozica (samiec), która padła od kuli księcia Walii.

Powszechna wystawa łowiecko-rybacka ma być pod protektoratem ks. Henryka pruskiego w sierpniu b. r. urządzoną w mieście Kassel, w zamku i parku królewskim, położonym nad rzeką Fuldą. Urządzeniem wystawy zajmuje się bardzo gorliwie niemieckie Towarzystwo łowieckie, liczące przeszło 8.000 członków, należy się więc spodziewać że wystawa wypadnie wspaniale.

W Warszawie przyszła nareszcie do skutku zapowiadana już oddawna organizacya Towarzystwa myśliwskiego dla gubernij Królestwa polskiego. Rząd zezwolił na utworzenie rzeczonego Towarzystwa jako filii petersburskiego Towarzystwa rozmnażania zwierzyny i polowania. Petenci z pułkownikiem Małychinem na czele, krzątali się już oddawna około tej sprawy, i dziś już są członkami założycielami nowego Towarzystwa. Zamierzają oni zaraz po Nowym roku zwołać posiedzenie, na którem utworzy się odpowiedni zarząd. Towarzystwo, jak piszą z Warszawy, pragnie przedewszystkiem rozwinąć swoją działalność co do ochrony zwierzyny, odkładając urządzanie zbiorowych polowań do czasu, w którym będzie na co polować. Istnieje zamiar wyjednania pozwolenia na wprowadzenie zmian w obowiązujących w Królestwie przepisach o polowaniu. Zmiany te pomiędzy innemi polegać mają na skróceniu czasu polowania na kuropatwy i zające. Kłusownictwo, łapanie w sidła zwierzyny, znajdzie w członkach Towarzystwa zaciętych prześladowców. Towarzystwo zamierza wydzierżawić polowanie na znacznych przestrzeniach, bądź rządowych, bądź prywatnych, i zaprowadzić na nich staranne gospodarstwo łowieckie.

Wilcza kronika. Ciekawą przygodę z wilkami, choć brzmiącą dość nieprawdopodobnie, opowiada jak następuje wydawana w Czerniowcach *Gazeta polska:*

„D. 6. grudnia w miejscowości Mitoka-Dragomirna trzej myśliwi, a mianowicie leśniczy Gumiński, praktykant leśnictwa Rumel i pobereżnik Osepczuk wybrali się w las za stadem wilków, których ślad spostrzeżono. Po drodze przyłączył się do myśliwych, odbywający patrol naczelnik miejscowego posterunku, Zebaczyński. Po godzinie poszukiwań doścignięto wreszcie wilki. Gumiński pierwszy dał ognia i dwoma strzałami położył trupem dwie bestye. Strzały innych myśliwych chybiły, tylko Zebaczyński postrzelił jednego wilka. Ranione zwierzę, zamiast uciekać, zwróciło się ku żandarmowi i wpadło nań z całą wściekłością. Sytuacya była nader groźna, opadnięty bowiem znajdował się w znacznej odległości od reszty myśliwych i czekać na ich pomoc nie było czasu. Nie było też czasu, aby broń ponownie nabić. Zebaczyński stanął więc w pozycyi do ataku i podstawił wilkowi najeżony na karabinie bagnet. Wilk wpadł na ostrze i zranił się głęboko, atoli to jeszcze go więcej rozwściekliło; ponownie wtedy rzucił się na żandarma. Ten jednak miał już czas wydobyć szablę i gdy wilk podbiegł, ciął go w łeb z taką siłą, iż czaszka zwierza rozpadła się na

dwoje i niebezpieczny drapieżnik rozciągnął się u nóg przytomnego żandarma. Reszta wilków, spłoszona strzałami trzech innych myśliwych, rozbiegła się po lesie“.

Z pod Sokala donoszą do „Diła“, że 11. grudnia wilki napadły na jakąś dziewczynę wracającą z Bełza od krewnych do wsi Sielce do domu, pożarły ją zupełnie i pozostawiły tylko nogi w butach, które 13. b. m. znaleziono i pochowano. Wilki napadają także często na konie i źrebięta.

Z Bośni donoszą, że tej zimy rozmnożyły się tam wilki nadzwyczajnie i stają się ciężką plagą gospodarzy. Pod Wyszehradem całemi stadami wychodzą z lasów i rzucają się na trzody, a nawet ludzi w biały dzień napadają.

Z Orszowy donoszą temeszwarskiej gazecie, iż w południowej części komitatu Kraszo-Szerenyer pojawiły się wściekłe wilki, które nawet w biały dzień rzucają się po wsiach na inwentarz i ludzi. Szczególniej okolice Almy dotknięte są tą plagą. W dwóch tylko miejscowościach Priligecz i Bania, 22 osób podległo już strasznym objawom wścieklizny, z których cztery zmarły wśród okropnych cierpień. W całej okolicy zapanował strach niebywały przed wilkami.

W lisiej norze. W lasach Borków Dominikańskich jeden z włościan, Jan Rybicki, postrzelił lisa, który po strzale schował się do nory. Strzelcowi żal zrobiło się skóry, którą mógł stracić, poszedł więc za lisem i wlazł w norę. Tam dopiero spostrzegł, że lis wykręcił się do niego pyskiem, więc chciał się cofnąć. Tymczasem uwiązł w ciasnej norze i nie mógł się cofnąć. Lis, rozdrażniony bólem, spostrzegłszy nieproszonego gościa, rzucił się z wściekłością na strzelca. Położenie jego było okropne, gdyż lis zadał mu zębami tak straszną ranę w lewą rękę, że włościanin zemdlał. Oczywiście byłby może i zagryziony, gdyby nie przechodzący przypadkiem inny włościanin, który zobaczywszy wystające nogi i słysząc później krzyk w norze, wyciągnął zakrwawionego myśliwego. Ten przybywszy do Lwowa, z orzeczenia lekarza, poddać się musiał amputacyi zmiażdżonej ręki

---

Polowanie z biglami. Rzadkie u nas polowanie z biglami na lisy urządził w listopadzie r. z. p. N. we Włoszczowej w Kieleckiem. Schwytane na ten cel lisy w liczbie 14-tu puszczano pojedynczo z klatki i gdy lis odbiegł z jakie pół wiorsty, dojeżdżacze z psami, a za nimi i całe towarzystwo liczące około trzydzieści osób na koniach rozpoczynało łowy. Polowanie udało się doskonale. Z wypuszczonych lisów żaden nie uszedł pogoni, chociaż psy i konie miały do czynienia z zmarzniętą ziemią, oraz licznemi naturalnemi i sztucznemi przeszkodami.

Tragiczny wypadek w menażeryi. Z Pragi donoszą: W Hohenmauthe zdarzył się okropny wypadek. W zeszłą sobotę w menażeryi Kludskyego rozpłatał i zabił tygrys 26-letnią pogromczynię, Bertę Baumgartner, skorzystawszy z tego, że przy wejściu do klatki pośliznęła się i upadła. Mimo wszelkich wysiłków ze strony właściciela i dozorców menażeryi, nie chciał zwierz swej ofiary wypuścić. Gdy mu ją wreszcie po długiej walce wyrwano, była już nieżywa. Kludskyemu wytoczono śledztwo karne. Tygrys, o którym mowa, przyprawił już przed Baumgartnerówną dwóch innych ludzi o śmierć.

O dziki. Warszawska „Gazeta Sądowa“ opisuje ciekawy proces Ordynacya hr. Zamoyskich wytoczyła br. Schillingowi, dzierżawcy folwarku Teremiec, proces o zapłatę czynszu w sumie 1.462 rubli. Pozwany wytoczył znów ordynacyi proces o zwrot 4.500 rubli strat, zrządzonych przez dziki, które zarząd ordynacyi rzekomo hodował, wywożąc dla nich karmę do lasu, tudzież o rozwiązanie kontraktu. Sąd okręgowy w Lublinie wywożenie karmy do lasu uznał za rozmnażanie dzików i na tej podstawie kontrakt dzierżawny rozwiązał i dopuścił do wzajemnej kompensaty pretensyj. W drodze apelacyjnej zarząd ordynacyi przytoczył, że istotnie wywożono karmę do lasu przed każdem polowaniem, aby zwabić tem dziki w jedno miejsce, że zatem działo się to w celu ich niszczenia, nie zaś rozmnażania. Do rozprawy nie doszło, obie bowiem strony zrzekły się wzajemnych pretensyj, a br. Schilling pozostał nadal dzierżawcą Teremca. W ten to sposób wywożenie do lasu karmy dla dzików przyprawiło zarząd ordynacyi o stratę 1.462 rubli czynszu rocznego.

Niebezpieczny kozioł. Rzucanie się trzymanych w niewoli rogaczy na kobiety, nie należy do rzadkich wypadków, lecz o szczególnie zuchwałym galancie donoszą z Saksonii. W miejscowości Weinböhla, w lipcu z. r. gromadziła dziewczyna siano na łące, gdy wtem piękny rogacz zaczął się ku niej zwolna zbliżać. Dziewczę myśląc, że to kozioł ułaskawiony, przypatrywało mu się z ciekawością. Tymczasem rogacz, przysunąwszy się, zaczął ją rogami tak złośliwie atakować, że przebił jej rękę, pokaleczył nogi i piersi. Na krzyk dziewczyny przybiegł pracujący w polu gospodarz i starał się napastnika kijem odpędzić, ale nadaremnie; musiał go dopiero z całej siły pochwycić za rogi i odepchnąć. Lecz i wtedy nie umknął niebezpieczny galant; stanął opodal, jak gdyby namyślając się czy nie wrócić, i dopiero po chwili odszedł wolno ku lasowi.

Wielbłądy w usługach rolnika. Na południu Rosyi zaczynają coraz więcej wchodzić w użycie wielbłądy jako zwierzęta bardzo wytrwałe, których wyżywienie nie wiele kosztuje, a które nadto nie podlegają epizootii. W ostatnich czasach wielbłądy znajdują chętnych nabywców w kozakach stanic wojska dońskiego, używających wielbłądów nietylko do przewożenia ciężarów, lecz i do robót rolnych. Za parę tych zwierząt płacą po 200 rubli.

Jenerał Przewalski, jeden z najlepszych znawców środkowej Azyi, jej ziem, ludów i bogactw natury, a w szczególności fauny, zmarł dnia 4. listopada z. r. w miasteczku Karakol w Semiriaczeńskim okręgu. Niestrudzony ten podróżnik, któremu zoologia bardzo wiele zawdzięcza, odważny, wytrwały i w sile wieku, bo liczył zaledwo 49, lat uległ febrze, t. z. *fibris recurrens,* która w gwałtownej formie wystąpiła. Przygotowywał on właśnie piątą swą wyprawę do środkowej Azyi. Stósownie do wyrażonego przed zgonem życzenia pochowano go nad Issybulskim jeziorem.

Wyprawy łowiecko-naukowe. W wyprawie hr. Samuela Telekiego, poświęconej, jak wiadomo, zbadaniu Zanzibaru, przyjął udział między innymi rodak nasz, p. Edmund Stawiski. Z listu, który rodzina jego udzieliła *Kurjerowi Warszawskiemu* dowiadujemy się, że członkowie wyprawy mieli niebezpieczne przejście z krajowcami. Kilku padło w tej walce, nasz rodak jednak szczęśliwie ocalał, dzięki znajomości miejscowego języka i umiejętnemu zachowaniu się. Wyprawa odkryła nowe jezioro, do którego dwie duże rzeki uchodzą, i przybyła d. 24. października do Mombazy.

Hr. Geza Szechenyi, znakomity myśliwy węgierski, wybrał się do Indyj Wschodnich, aby tam wziąć udział w łowach na zwierzęta drapieżne.

Polowanie na pardwy gniade *(Tetrao scoticus).* Donoszą nam o nadzwyczajnym wyniku polowania, które d. 30. sierpnia z. r. odbył lord Walsingham w Blubberhouses na pardwy gniade. Polowanie odbyło się w ciągu jednego dnia i trwało 14 godzin 18 minut, z czego na strzały same użyto 7 godzin 11 minut. Oprócz lorda Walsingham nikt inny nie strzelał. Urządzono dwadzieścia nagonek, z których najdłuższa trwała 33 minut, najkrótsza 16 minut. W ciągu tego czasu ubił lord W. w nagonkach 1022, chodząc 14 ptaków, a nazajutrz znaleziono jeszcze 34 sztuk, co czyni razem 1070 pardw. Wypada to w przecięciu po $2^1/_2$ ptaków na minutę czasu, zużytego na same strzały. Raz na jeden strzał padły trzy ptaki, trzy razy zaś po dwa ptaki. Najkorzystniejszemi była czwarta nagonka, gdzie padło 79 ptaków na 18 minut, druga (64 ptaków na 18 minut) dziesiąta (61 ptaków na 16 minut) i szesnasta, gdzie padło 93 ptaków na 21 minut, tj. w przecięciu po $4^1/_2$ ptaka na minutę. Lord Walsingham używał do tego polowania czterech gładkich lankastrówek, nie „chokebor'ów“, i miał czterech nabijaczy.

Tępienie ptaków drozdowatych, pod pozorem chwytania kwiczołów, przybrało w Niemczech takie rozmiary, że miesięcznik niemieckiego Stowarzyszenia dla ochrony ptaków skarży się na to publicznie. Pismo to opowiada, że raz w 100 sztukach „kwiczołów“, które pewien ptasznik dostarczył, znalazło się 97 drozdów i trzy inne ptaki drozdowate, lecz nie było tam ani jednego kwiczoła. Podobno nie lepiej dzieje się i u nas, i byłoby pożądane, ażeby zwrócono uwagę na tępienie drozdów pod pozorem chwytania kwiczołów.

Hodowla strusiów. „*English Illustrated Magazine*“ opowiada następujące szczegóły o hodowli strusiów w kolonii Przylądka dobrej Nadziei. Kolonia ta ma trzy pasy: nadbrzeżne wydmy piaszczyste pokryte krzakami, łąki ciągnące się u stóp gór i rozległą pustynię, zwaną Karao. Tu i w pierwszym pasie strusie żyją w stanie dzikim; w pasie drugim, gdzie szlachetny ptak, lubiący przestrzeń, zanadto czuje się ścieśnionym pomiędzy górami, nie ma go wcale. Wszyscy miejscowi fermerzy poświęcają się prawie wyłącznie hodowli strusiów, przynosi ona bowiem pewne i szybkie zyski.

Przed ośmiu laty, funt najpiękniejszych piór kosztował 1.500 fr., para ptaków rozpłodowych 7.500 fr., małe jednodniowe strusięta 125 fr. Wielu kolonistów osięgało od 12.000 do 15.000 fr. rocznego dochodu z jednej pary. To też wszyscy rzucili się do tej gałęzi przemysłu. Po-

czyniono wszelkie możliwe ulepszenia, zbudowano rezerwoary dla przechowywania wody podczas suszy, która trwa tam niekiedy rok, dwa a nawet trzy lata. Ziemia doszła do cen bajecznych, fermerzy zasiewali zboża tyle tylko, ile im było potrzeba na osobisty użytek, reszta ziemi urodzajnej szła pod lucernę. Pomimo zniżki cen, jaka powstała z powodu tej konkurencyi, hodowla strusiów dotychczas przynosi wielkie zyski. Pióra spadły obecnie do 200 fr. za funt najpiękniejszych białych, w tymże stosunku staniały także i ptaki.

Mały kapitalista, posiadający zaledwie 6—8 tysięcy franków, może prowadzić hodowlę tę zarabiając sto na sto.

Oto opisanie typowej fermy w pustyni Karao.

Przestrzeń pokryta piaskiem i karłowatemi kaktusami, zasłonięta od tyłu pasmem gór, a wynosząca 3 tysiące morgów, ogrodzona jest niskim murem z drucianą siatką, którą wyrabiają wędrowni Kafrowie. W zagrodzie takiej, zwanej „obozem“, mieści się 200 strusiów. Nie wychodzą one ztąd nigdy, chyba gdy mają być oskubane lub gdy susza zniszczy tu paszę do szczętu. Do oskubania prowadzą strusie do tak zw. „kraalu“, czyli parku, gdzie nie mogą biegać. System uznany za najlepszy w tej operacyi, polega na obcinaniu piór nożem, przy pozostawieniu piór w skórze — wypadają one potem same. Jednakże system ten nie jest powszechnie przyjętym, gdyż traci się w ten sposób wiele czasu. Wyskubując pióra jak na gęsi, można powtarzać tę operacyę co siedm miesięcy, podczas, gdy przy obcinaniu trzeba czekać miesięcy ośm. Najczęściej zbiory sprzedawane są wędrownym kupcom żydom, którzy wyprawiają ten towar do Port-Elisabeth lub morzem do Londynu. Trzeba przeciętnie trzy strusie do wyprodukowania funta piór białych przedniego gatunku, ze skrzydeł. Pióra białe z ogona są pośledniejsze. Pióra czarne samca i siwe samicy dopełniają zbioru. Małe strusie dają pióra krótkie, zwane *spadonas*.

Trzecie opierzenie uchodzi za najlepsze. Oskubują ptaki do lat 6, to jest do chwili, gdy samica zaczyna znosić jaja. Wówczas trzeba się strzec czynić to częściej niż raz na rok i nigdy zimą, gdyż samica, która niesie się cztery do pięciu razy ra rok, nie chce wysiadywać jaj, jeśli ją pozbawią ciepłego upierzenia podczas zimna i deszczów. Z jednej pary można mieć od pięćdziesiąt do ośmdziesiat małych.

Powszechnem jest mniemanie, że struś trawi wszystko, zkąd poszło nawet przysłowie: „strusi żołądek“. Mniemanie to jest błędnem. Dla małych strusiąt pszyrządzają trawę siekaną drobno; stare żywią się przeważnie lucerną, lubią też sól. Zdarzało się podczas suszy, że gdy pasza wyschła, fermerzy wpuszczali drogocenne ptaki do swych winnic i pozwalali im czynić tam wielkie spustoszenia.

Strusie są nadzwyczaj wrażliwe na zimno i wiele z nich ginie corocznie, gdy po deszczach nastają chłody. Długa susza sprowadza na nie epidemię, zwaną *frotte-maag*, rodzaj gorączki tyfoidalnej, nadzwyczaj zaraźliwej, na którą dotychczas nie wynaleziono lekarstwa.

Fermerzy oddzielają od innych pary rozpłodowe, z powodu gwałtowności i srogości samca. Każda para zamknięta jest oddzielnie w zagrodzie, obejmującej trzy do cztery morgów. Samiec i samica siedzą kolejno na jajach; najlżejszy szelest płoszy je. Koloniści przeciwni są sztucznym wylęgaczkom; jeśli jaj jest za wiele, aby je mogła wysiedzieć samica strusia, sadzają na nie indyczki.

Jaka przyszłość czeka tę hodowlę: czy upadnie ona skutkiem zmiany mody? Niewiadomo — to tylko pewna, że obecnie podnieca ona inteligencyę i energię ludności, która dotychczas pogrążona była w głębokiej apatyi.

Walki przepiórek, podobnie jak dawniejszemi czasy walki kogutów w Anglii, są ulubioną zabawą Chińczyków. Hodowcy przepiórek poświęcają nadzwyczaj wiele trudu i prawdziwie chińskiej cierpliwości, ażeby przepiórki do walki zaprawić. Codzień kąpią je w ciepłej wodzie, żeby były chude a silne i zgrabne. Wrodzoną płochość tych ptaków, szczególniej ze względu na krzyki i śmiechy publiczności, poskramiają przez zniszczenie słuchu, w ten sposób, że dmuchają na błonkę ich uszu przez rurkę tak silnie, aż pęknie. Arena walki jest zazwyczaj bardzo mała, a widzowie przypatrują się w schylonej postawie, oparci na galeryjkach. W środku areny, na stole, stoi cebrzyk o niskich ścianach. W nim to odbywa się walka. Przed wypuszczeniem zapaśników, okazują ich publiczności, potem wkładają jedną do niebieskiego drugą do żółtego woreczka i następują zakłady na żółtą lub niebieską. Hazard tych zakładów jest podobno dla Chińczyka głównym interesem. Gdy zakłady są zapisane i do rąk obranego arbitra złożone, puszczają przepiórki do cebrzyczka. Skoro przepióry zoczą się tylko, wybucha walka, zażarta lecz zwykle niedługa, bo przepiór pokonany kapituluje łatwo i uchodzi.

Innym ciekawym sportem chińskim jest walka świerszczów. W porze letniej bawią się tem Chińczycy na całem południu państwa niebieskiego, gdzie świerszczy jest podostatkiem. „Świerszczarze“ polują na swą zdobycz zazwyczaj w nocy z pomocą światła, do którego świerszcze polne wyłażą. Wypędzają je także wodą z jam i łowią. Im głośniej świerszcz świerka, tem większą przypisują mu bitność. Schwytanego zapaśnika wkłada świerszczarz do glinianego garnka, gdzie w spodzie jest nieco ziemi i naczyńko z wodą do picia i na kąpiel. Na pożywienie dostają świerszcze pewne gatunki ryb i owadów, a dla podniecenia zapalczywości miód, gotowane kasztany i ryż. Strzegą ich też pilnie od dymu, który ma źle na bitność ich wpływać; wieszają zresztą amulety na garnuszkach ze świerkami, aby je od złych wpływów ochronić. Na zaziębienia, niedyspozycje żołądkowe i inne dolegliwości świerszczów ma świerszczarz wypróbowane środki. Na arenie zestawia się świerszcze wedle wagi, wielkości i barwy. Widzowie zakładają się czasem bardzo wysoko, co jest właściwie zakazane, ale władza dość bywa dobroduszną, aby przypuszczać, że się zakładają o ciasteczka i pierniczki. Świerszcz, który wiele zwycięstw odniósł, zowie się „szulip“ i bywa wysoko ceniony i płacony. Gdy zginie lub padnie w boju, chowa go właściciel w maleńkiej srebrnej trumience. Świerszczarze żywią ten przesąd, że jeżeli „szulipa“ okazale pogrzebią, to za rok w sąsiedztwie jego trumienki znajdą znowu świerszcza bohaterskiego usposobienia.

Najsławniejszemi są walki świerszczów w okolicach Kantonu. W miejscowości Tchappi są obszerne szopy z mnóstwem oddziałów, a w nich stoły z naczyniami, gdzie się walki świerszczowe odbywają. Do odbierania wkładek i wypłacania wygranych jest osobne bióro, które ściąga sobie od wygranych 10% za trudy. Najszczęśliwszy z wygrywających otrzymuje prócz tego pieczone prosię, sztuczkę jedwabiu i rodzaj bukietu złocistego, który składa w pagodzie bóstwu Kwante na ofiarę. Zalety znanych z odwagi świerszczów sławione są plakatami na ścianach szopy, a wzruszenia i namiętności między widzami nie ustępują w niczem temu zajęciu i wzruszeniom, których obraz daje nam publiczność europejska w czasie wyścigów końskich.

Przygodne zarybienie. Przemyscy handlarze ryb — oczywiście żydki — zrobili wyborne interesa w dzień wilii Bożego Narodzenia. Wszystkich mieszkańców Przemyśla obrządku rz. kat. zaopatrzyli rybami na wieczerzę wilijną — ale zapas towaru był tak wielki, że znaczna część szczupaków, karpi, linów itp. została jeszcze w kadziach i koszach. Umieszczono je więc w przeręblach Sanu, który, pokryty lśniącą płytą lodu, przedstawiał wyborne i trwałe schronisko aż do ruskiej wilii, na którą Przemyśl także sporo ryb konsumuje. Leez o losie zmienny. o ufności, oparta na kaprysach górskiej rzeki! W chwili, gdy rzymsko-katolicka część ludności Przemyśla spożywała rybę, zachciało się Sanowi, mimo zimy, jeszcze trochę pohulać. W nocy więc z 24. na 25. grudnia pokruszył powłokę lodową a przytem rozniósł kadzie i kosze z rybami kupców przemyskich. Nastąpiło sztuczne zarybienie Sanu karpiami, linami, szczupakami i innemi rybami, a żydkowie handlujący ponieśli stratę przeszło 1000 zł. w. a.

Sztuczne zarybianie zaczyna coraz większego nabierać znaczenia. W trzech latach, od r. 1884 do 1887, zapuściło samo niemieckie Towarzystwo rybackie, do rzek i stawów następujący zarybek: przeszło 9 i pół miliona łososi, przeszło półtora miliona pstrągów różnego rodzaju, przeszło pół miliona węgorzy, 24 tysiące sandaczy i znaczną ilość innych ryb, a między tem kilka z północnej Ameryki aklimatyzowanych gatunków.

O nadzwyczajnym połowie sumów, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają, donoszą z Uherskiego Hradyszcza na Morawie z nad rzeki Morawy. Siedmiu z nadbrzeżnych właścicieli tamtejszych wydzierżawiło prawo połowu ryb na pewnej przestrzeni Morawy, która niegdyś była bardzo rybną, ale od wielu już lat żadnego pożytku rybakom nie dawała. W listopadzie z. r., zasłyszawszy, że tu i owdzie złowiono w Morawie kilka większych sumów, postanowili i dzierżawcy z pod Hradyszcza próbować szczęścia. Dnia 10. listopada zarządzili też łów włokiem, a wynik był bajeczny, ułowiono bowiem dwieście dwadzieścia sztuk sumów. Największy ważył przeszło 35 kilogramów, inne stopniowo mniej aż do 10 kilogramów. Sztuki ważące poniżej 10 kilogramów wrzucono napowrót do rzeki. Tę ogromną ilość sumów przypisują tej okoliczności, że stan wody w Morawie utrzymywał się w r. 1888. ciągle dość wysoko, że więc pomniejsze sumy ściągnęły z Dunaju do spokojniejszej Morawy na zimowlę.

Walka z ludojadem. W zatoce Nowojorskiej, kapitan Terpen, komendant parowca „South-Brooklyn“ wypłynął na łodzi w towarzystwie dwóch młodych kobiet. Była to przejażdżka dla przyjemności. Wtem, tuż obok łodzi pojawił się Żarłacz ludojad (*Squalus Carcharius*), długi

na 12 stóp, i mający widocznie apetyt na płynące w łódce damy. Powstał krzyk i przerażenie, tak, że kapitan ledwie mógł zapobiec, żeby obie kobiety nie wypadły z przestrachu do wody, a sam tymczasem zajął się odparciem napastnika. Nie mając innej broni, chwycił oburącz wiosło i z całej siły uderzał po głowie ludojada, który mimoto usiłował złapać zębami łódź i wywrócić ją. Walka ta o śmierć i życie trwała dość długo, ludojad podpływał cochwila, kapitan Terpen bronił mu przystępu. Nareszcie ludojad, ugodzony jeszcze jednym rozpaczliwym ciosem, zostawił smugę krwi na powierzchni morza i zniknął w głębinach. Młode kobiety nie przeszkadzały już w obronie — leżały bowiem omdlone w głębi łodzi. Kapitan przybił czemprędzej do brzegu, aby je ocucić.

Na kłusowników wymyślano w dawniejszych czasach kary surowe a częstokroć i bardzo okropne. Zależało to zresztą od większej lub mniejszej namiętności polującego. Najczęściej zawieszano rosochy jelenie kłusownikowi na szyi i wedle tego, czy dłużej czy krócej kłusownictwem się parał, kazano mu dwa lub więcej lat nosić je na sobie. Także wypiekano przestępcy piętno w kształcie rogów jelenich czyto na wielkim palcu, czy na łopatkach, albo nawet na policzkach lub czole. Innym obcinano uszy lub rękę, albo im wykłuwano oczy; także ścinano, wieszano lub wbijano na pal, w miarę większych przestępstw. W niektórych krajach, aby dać poznać, że wisielec został ukarany za kłusownictwo, przybijano mu rogi jelenie do głowy. Srożsi panowie znęcali się jeszcze gorzej nad kłusownikami; kazali ich zaszywać w skóry dzikich bestyj i szczuli psami, które przestępcę wraz ze skórą na sztuki rozszarpywały. Inni przykuwali lub przywiązywali kłusownika do żywego jelenia i tak go w lasy puszczali. Jeleń rozszalały, chcąc się uwolnić od niezwykłego ciężaru, przedzierał się przez najgęstsze krzaki i zostawiał na nich nieszczęśliwego kawałkami. W podobny sposób ukarał jeszcze w r. 1537 salcburski biskup Michał poddanego za to, że zabił jelenia, który mu szkodę w polu robił.

Z wiwisekcyi. Wiadomą jest rzeczą, iż człowiek jest najokrutniejszem stworzeniem pod słońcem. Starą tę, jak świat prawdę, ilustruje najwymowniej — wiwisekcya. Dla wykazania obiegu krwi, czułości lub nieczułości nerwowej, uczeni nie wahają się poddawać zwierząt najokropniejszym męczarniom. Do doświadczeń tych służą zwłaszcza psy. Zasadzają im naprzykład w serce cieniutką igiełkę, na której końcu jest chorągiewka; poruszenia tejże wykazują najlżejsze drgnięcia. Otóż niedawno, na publicznej prelekcyi w Paryżu, na stole wiwisekcyjnym położono małego pokojowego pieska. Uczony profesor, głaszcząc go niby, robi mu nacięcie na szyi. Biedne stworzenie piszczy, wyrywa się z rąk oprawcy, wreszcie oszołomione, nie wiedząc czego chcą od niego, sądząc może, że to podnieta do sztuczek, których go wyuczono, staje na tylne łapki i... służy. Cała publiczność, sam nawet profesor wszyscy zostali tknięci litością i darowano na ten raz życie biednemu psiątku.

Pies żołnierzem. Słusznie psa nazywają najlepszym z pośród zwierząt „pomocnikiem człowieka“. Do czego bo już poczciwego kundla nie używano!...

Anglja jest jedynym krajem, w którym zamiłowanie psa doprowadzono do wysokości nauki. Do niedawna n. p. znany był w Anglji gatunek psów, używanych w kuchni do obracania rożna. Rasa ta jednak dziś zwyrodniała. W skutek obracania fatalnego koła w ciągu kilku pokoleń i w miarę, jak ciało obracającego rożen *(turnspit)* wyciągało się, ażeby silniej trzymać narzędzie, łapy przednie nietylko że się skurczyły, ale się nadto wykręciły. Zamiast biegać, jak jego bracia na czterech łapach, nieszczęsny kręcirożen wlókł się zaledwie na czterech kikutach wyschniętych.

Dopiero cywilizacja nowoczesna zniosła tę mękę, zastąpiwszy je mechanizmem zegarowym.

Obecnie znowu militaryzm pasuje psa na żołnierza.

Płaskorzeźba, wykopana w Herkulanum, przedstawia psy, broniące fortecy. Poznać po nich, że zajmowały wybitne miejsce w hierarchji wojskowej państwa rzymskiego. Noszą bowiem zbroję i naszyjnik, opatrzony w kolce żelazne, przyłączone zaś były do legii. Dzięki to ich waleczności, król Garamantes odzyskał swoje państwo. Pod Mantineą dwie falangi molosów, towarzyszące wojsku tebańskiemu i spartańskiemu, walczyły dzielnie i zawzięcie; psy Cymbrów nie chciały się poddać pomimo klęski swych panów i dały się zabić na posterunku, broniąc obozu i kobiet, które się tam schroniły...

Później psy wojskowe przestały istnieć, jako instytucja, ale tradycja o nich nigdy nie zaginęła całkowicie. Psy, które Ludwik XI-ty zostawił na straży góry św. Michała, psy Karola Śmiałego i Filipa V. pozostały sławnymi. Słynny Moustache, który odbył wszystkie kampanje za pierwszego cesarstwa i był ozdobiony orderem przez marszałka Lamzes na polu bitwy pod Austerlitz, za odebranie żołnierzowi nieprzyjacielskiemu sztandaru pułkowego, pozostanie *sui generis* bohaterem.

Byli to jednak amatorowie, i raczej ochotnicy, aniżeli żołnierze zaprawieni i ćwiczeni. Niemcom dopiero należy się chwała za rozciągnięcie służby obowiązkowej i na psy. Przypomina to trochę napady Cymbrów i Teutonów, ale fakt jest faktem.

Doświadczenia, czynione ze „szkołą psów“ w Geslaer w r. 1886., dały świetne zezultaty, tak, że obecnie kundysy pomerańskie pomieszczone są w rejestrach armij pruskich. Cały ich kontyngens pozostaje pod komendą szefa 4. korpusu.

Jenerał francuski i minister wojny, Ferron, poszedł za przykładem Niemców i już na ostatnich manewrach tegorocznych, psy wojskowe odznaczały się niezwykle. Naturalnie, że nowi ci pomocnicy żołnierza uczeni są według zasad nowoczesnej taktyki. Nie ćwiczą ich w tym celu, żeby się biły na wzór psów cymbryjskich, albo, żeby odbierały sztandary, ale muszą się zadowolnić skromniejszą rolą. Stoją obok placówki wysuniętej naprzód, i dają znać o zbliżającym się niebezpieczeństwie, albo też tropią w lasach lub w fosach, czy nie ma gdzie ukrytego wroga, a wreszcie biegną z depeszami.

Do wyuczenia się tych czynności nie potrzeba bynajmniej pierwszorzędnych zdolności. Pies łatwo się uczy rozpoznawać wroga od swojego. Podczas kampanji tuniskiej umiał on zawsze odróżnić turkosa od zbuntowanego araba, a na ostatnich manewrach psy przenosiły depesze z zadziwiającą szybkością.

Wzamian za to trudno im wszczepić krew zimną i rozsądek. Na odległość 300 metrów pies zwęszy wroga, podkradającego się na czworakach, ale jeżeli zaszczeka, wszystko jest stracone, bo ostrzeżony uprzedzi swoich. Trzeba więc przedewszystkiem wprawić psa wojskowego do milczenia. O zbliżeniu się nieprzyjaciela powinien dawać znać albo podnoszeniem ogona, albo skrzywieniem wierzchniej wargi, lub innemi znakami niememi. Skoro zaś zrozumie, że jego zadaniem jest nie szczekać, powiedzieć można, że osiągnął szczyt doskonałości psiego rozumu.

Jaka rasa nadaje się najbardziej do tych posług wojskowych, kwestja to jeszcze nierozstrzygnięta. Austryjacy używają psa dalmackiego. Włosi małego jamnika, używanego na lisa, Niemcom zdaje się wystarczać kundys pomerański. Francuski sztab jeneralny nie wie jeszcze jak postąpić. Zdawałoby się, że pudel byłby najstosowniejszy, bo uczy się łatwo sztuk wszelakich, atoli nie posiada on odpowiednich sił fizycznych, a oprócz tego nie odznacza się węchem i słuchem wybornym, ani nie jest w możności szybko odnosić depesz. Wyżeł byłby wyborny do zbadania terenu, lecz znowu nie pojmuje karności.

Anglicy oddają pierwszeństwo psom owczarskim, które i węch mają znakomity i inteligencję i świadomość swej odpowiedzialności. Pies ten jest typem najdoskonalszym psa rozsądnego. Nic go nie odwróci od obowiązku podczas pilnowania trzody, nie spuszcza jej ani na chwilę z oka i nie pozwala przechodzić na pastwisko obce. Z tego materjału Anglicy niezawodnie wytworzą osobną rasę psów „od wojny“.

Z dykteryjek myśliwskich. Siedzieliśmy przy bigosie. Ogień, zasycany coraz to świeżemi gałęziami choiny, trzeszczał, pryskał i od czasu do czasu buchał czerwonemi słupami płomienia. Polowanie wiodło się jak rzadko, byliśmy zatem w wybornych humorach.

P. Konstanty, elegancki myśliwy, równie wesoły jak wypomadowany, i równie szczęśliwy w pogoniach za podwiką jak za szarakiem, zabrał głos:

— Śmiejecie się z mojej małej słabostki do niewiast, a przecież gdyby nie pewna bardzo piękna dziewczynka, nie liczyłbym się już dziś do żyjących. Skończywszy studya, wróciłem do domu, ażeby się jąć gospodarstwa. Praca ta polegała głównie na tem, żem się włóczył bezustannie ze strzelbą na plecach. Oprócz zwierzyny i uroków lasu, był jeszcze jeden magnes, który mię z domu wyciągał — piękna leśniczanka. Nie wiem, jak się to działo, ale zawsze jakoś, przechodząc koło leśniczówki, czułem się znużony i musiałem odpocząć. Gawędziliśmy wtedy i żartowali albo przez okno albo na ganku. Była tak piękna! Raz wykradłem jej fotografię i ruszyłem w las. Przypadek zdarzył, żem zobaczył gniazdo jastrzębi na sośnie. Poprzysiągłem był zemstę tym rozbójnikom, więc i teraz zebrała mnie ochota gniazdo zniszczyć i wybrać zeń młode. Wykonać ten zamiar — to rzecz jednej chwili. Nim rozważyłem, że sosna bardzo wysoka, jużem był w połowie pnia jej grubego. Lecz nie tak to łatwo było dostać się do gniazda, gdyż znajdowało się ono przy końcu długiej, poziomo prawie rosnącej ga-

łęzi. Czyż miałem złazić? Nie. Siadam na gałąź jak na konia i posuwam się ostrożnie naprzód. Już byłem przy końcu, już wyciągnąłem rękę do gniazda, gdy wtem — trrr... łamie się gałąź w połowie... Włosy stanęły mi na głowie... (Głos od ognia: „Choć wypomadowane?“) Dalibóg, choć wypomadowane stanęły mi na głowie... Podemną czterdzieści stóp i skała... Chwytam się rękami za gałąź i zawisnąłem w powietrzu — a tuż koło rąk pęka włókno za włóknem i nadłamana gałąź chyli się coraz bardziej na dół. Poleciłem niebu mą duszę i przypomniałem sobie, że mam fotografię pięknej dzieweczki w kieszeni. Chiałem na nią spojrzeć raz jeszcze przed śmiercią; wydobywam tedy fotografię, zatykam w szparę łamiącej się sosny, pożeram ją wzrokiem, a potem... otwieram omdlewające dłonie, ażeby raz skończyć tę mękę... No i cóż panowie myślicie? Żem się zabił? Wcale nie. Fotografia tak mnie silnie przyciągała ku sobie, że spadając, podlatywałem do niej co chwila, i tak, to lecąc na dół to w górę, spadałem na dół jak piórko i sam nie wiem jak, znalazłem się u stóp sosny.

Śmiech rozległ się między Nimrodami.

— Niech żyje piękna leśniczanka! — zawołał któryś z młodszych.

Wypiliśmy zdrowie magnetycznej leśniczanki, a p. Dyonizy, stary wyga, spojrzawszy ukosem na wypomadowanego adonisa tak się odezwie:

— To bardzo romantyczna przygoda! Jak mi Bóg miły, nadzwyczajna. Ja nigdy nic podobnego na sobie nie doświadczyłem, ale mam sąsiada, któremu rzemiosło myśliwskie bardzo ciężko dało się we znaki. Wyborny myśliwy, strzela wyśmienicie, ale ma jedną brzydką wadę: nie może się wybrać do lasu inaczej, tylko wygolony, wypudrowany, wypomadowany jak do tańca. (Głos od ognia: To Konstanty!) Otóż raz przyjechał on do mnie na polowanie. Mieliśmy kawałek do kniei, więc zakomenderowałem pogotowie na wczesną godzinę poranną. Nazajutrz wszyscy już stali gotowi na podwórzu, a wypomadowanego sąsiada jeszcze nie ma. Otwieram drzwi do pokoju w którym nocował, i widzę go stojącego w koszuli przed lustrem, z brzytwą w ręce... Ach, bogdaj byłbym nigdy nie zaglądał! Sąsiad przestraszył się niespodziewanego otwarcia, zrobił nagły ruch głową, i angielska brzytwa, którą trzymał w ręce, ucina mu nosa kawałek... Krzyknął i rzucił brzytwę — ale cóż — tak nieszczęśliwie, że padła na bosą nogę i odcięła mu kawałek wielkiego palca... Zrobił się rajwach nieopisany. Nikt nie myślał o polowaniu, wszyscy rzuciliśmy się na ratunek biednego sąsiada. Na szczęście był między nami dr. Proszek, którego znacie. Ten w jednej chwili pozbierał odcięte członki, przyłożył, przyszył i zabandażował. Nacierpiał się biedny sąsiad parę tygodni, lecz wszystko się zagoiło szczęśliwie i przyrosło. Dr. Proszek odejmuje wreszcie bandaże — no, i cóż państwo powiecie? — dopiero wtedy pokazało się, że ucięty kawałek wielkiego palca przyszył pacjentowi do nosa, a kawałek nosa do nogi. Zmienić tego już niepodobna. Sąsiad jest zresztą zdrów jak ryba, tylko musi sobie teraz obcinać paznogcie na nosie, a but zdejmować, gdy chce kichnąć...

— To Konstanty! — zawołali wszyscy chórem, zanosząc się od śmiechu...

— On nigdy nie kicha! — krzyknął ktoś z boku — popatrzcieno, czy nie ma paznogcia na nosie.

— Zdjąć mu buty! — zakomenderował inny.

I rozweseleni Nimrodzi rzucili się do wypomadowanego adonisa, ażeby mu zdejmować buty — lecz wtem dała znak trąbka, że nagonka stanęła już na miejscu, i myśliwi posunęli milczkiem na swe stanowiska.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tytuł i spis rzeczy do rocznika z r. 1888.

Szanownych członków gal. Tow. łowieckiego upraszamy o jak najwcześniejsze nadsyłanie wkładek, ażebyśmy mogli nakład „Łowca“ uregulować.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie